

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za odosłanie do domu
opłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
mru bez dodatku k. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:
Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:
Rocznie 12 guld. — 18 m.
Półrocznie 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Kwestyja afrykańska, przez L. — II. Kółka rolnicze w Galicyi, przez J. Dawidow. — III. Lud w programach demokratycznych, przez A. Więckowskiego. — IV. 2000—1887, przez J. Kniatyca. — V. Świat maryjonetek, przez J. L. Poplawskiego. — VI. Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza. — VII. Głosy. — VIII. Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego. — IX. Korespondenccje: z Dobrzynia, przez G. K. — Z Poniewieża, przez J. W. — X. Przegląd społeczny. — XI. Przegląd polityczny. — XII. Kronika literacka. — XIII. Kronika powszechna. — XIV. Ogłoszenia. — XV. Odcinek: Wysadzony z siodła, przez Antoniego Sygietyńskiego. (Ciąg dalszy).

Numer dzisiejszy zawiera stro-
nic czternaście.

Kwestyja afrykańska.

Do niedawna jeszcze Afryka międzyzwrotnikowa stanowiła zagadkę nawet dla specjalistów geografów, a oto obecnie kraje te, zaledwie pobieżnie zbadane lub znane tylko z nazwiska, wchodzą już do sfery „polityki europejskiej”, która coraz mniej zasługuje na ten wyłączny epitet. Dokonywany od lat kilku, chociaż niedokonany jeszcze ostatecznie podział niezajętych przez europejczyków krain, zwłaszcza w Afryce, i wzrost samodzielnych lub luźnie związanych z metropolijami kolonij—przesuwa środek ciężkości politycznej het po za Europę.

Największe państwo kolonialne, Anglija nie posiada dziś już żadnych ważniejszych interesów w Europie, natomiast po za jej granicami ześrodkowują się najdonioślejsze sprawy monarchii brytańskiej. Wielka Brytania ustępuje pierwszeństwa „Brytanii większej”, jak nazywa Dilke kolonije, bez której istnieć by nie mogła, tam bowiem odpływają wszystkie jej swobodne kapitały, przeważna część jej produkcji, nadmiar jej ludności.

Francyja, jakkolwiek w mniejszym zakresie, rozpościera również swe zabory i wpływy we wszystkich częściach świata, a na tę samą drogę wstąpiły już Niemcy i wstępują Włochy. Rosyja coraz więcej uwagi udziela swym kolonijom i sprawy zakaspijskie lub ussuryjskie nabierają znaczenia, jakiego nie miały jeszcze przed kilkoma laty.

Od kilku tygodni prasa angielska i niemiecka, zwłaszcza pierwsza, zajmują się więcej niż innemi sprawą rozgraniczenia posiadłości 2-ech tych państw w Afryce. Dziennikarze mówią obszernie o rzeczach, w których dotychczas zabierali głos jedynie uczeni geografowie i podróżnicy. Barbarzyńskie nazwy Uganda, Nyjani, Unianiembe, Unioro, Mapai, Kilima-Nyan pstrzą szpalty dzienników. Okazało się, że Anglija i Niemcy przy podziale zaborów we wschodnio-środkowej Afryce zetknęły się z sobą i muszą się rozgraniczyć. Rząd an-

gielski rozpoczął nawet rokowania z niemieckim i okazał podobno zbytnią delikatność. Gabinet dzisiejszy jest ostatniem bodaj przedstawicielstwem tej starej Anglii, która nie może zapomnieć, że jej rola w Europie już skończona, i że pierwszorządne interesy państwa leżą po za granicami naszej części świata. Dla wątpliwych korzyści, dla kombinacyj politycznych, które kupieckiej i przemysłowej Anglii zgoła nieobchodzą, gabinet miał zamiar poświęcić nieco ze swych wpływów i zdobyczy w Afryce na rzecz Niemiec. Przeciwnie polityce gabinetu wystąpił otwarcie znany podróżnik Stanley i rozpoczął agitację, w której idzie za nim cała prawie prasa angielska bez różnicy stronnictw. Rząd angielski, zdaniem jego, obojętnie traktuje kolonizację Afryki, kiedy Niemcy nie szczędzą starań w tym kierunku.

Już w 1887 r. Anglicy ustąpili Niemcom 20,000 mil. kw. angielskich kraju Mapai, 200 mil wybrzeża jeziora Wiktoryja-Nyanza i cały kraj Kilima-Nyan. Ten ostatni Anglija chciała już zająć, ale dowiedziano się, jak drwi sobie Stanley, że cesarz niemiecki interesuje się florą i fauną tej krainy, więc mu ją ustąpiono. Opinią publiczną sądziła, że jest to umowa ostateczna. W tem przekonaniu utworzono wielkie towarzystwo wschodnio-afrykańskie, które, po otrzymaniu listów nadawczych, wyłożyło 500,000 funtów szterlingów kapitału, pobudowało faktoryje, forty, drogi, mosty, doki i t. d. płaci pensyję sułtanowi Zanzibaru i utworzyło armiję z 4,000 krajowców. Tymczasem teraz całe prawie terytorjum, które towarzystwo objęło w posiadanie, rząd chce ustąpić Niemcom. A terytorjum to nie małe, bo zawiera około 500,000 mil kwadr. angielskich obszaru. Jeżeli taki układ dojdzie do skutku, Niemcy zagarną wkrótce całą Afrykę wschodnią i Anglija kolejno będzie musiała im ustępować Ugandę, Sudan, Egipt.

Są to, rozumie się, strachy, w które sam Stanley, nie wierzy, ale przeraziły one całą kupiecką Angliję. Rząd chciał uspokoić opinię publiczną zapewnieniem, że układy nie są jeszcze skończone i że przy zawarciu umowy interesy angielskie będą w należyty sposób zabezpieczone. Ale takie obietnice nie

zadowolniły opozycyi. „Lord Salisbury i jego organy uważają nas po prostu za głupców” woła *Pall Mall Gazette*. „Jeszcze niczego nie postanowiono, mówi szlachetny lord do narodu angielskiego, nie krzyczcie więc i śpijcie, jak wypada grzecznym dzieciom i czekajcie, co zrobi dla was dobry rząd”. Inne dzienniki przemawiają jeszcze ostrzej. Prawdopodobnem jest, że rząd zerwie układy lub przynajmniej cofnie ustępstwa, w przeciwnym bowiem razie opinia publiczna zwróci się przeciw niemu.

Kwestyja afrykańska może dokonać tego, czego ani opozycyja Gladstone'a, ani irlandczycy dokonać nie mogli — obalenia gabinetu.

Fakt ten, sam przez się, nie wielkie ma znaczenie, przytoczyliśmy go dla tego jednak, że wskazuje, jaką doniosłość zyskują dzisiaj w polityce sprawy po-za-europejskie. Kolonizacyja Afryki i zajęcie niezmiernych jej obszarów, trzy razy tak wielkich jak Europa a dotychczas słabo zaludnionych, wytwarza cały szereg nowych interesów politycznych i ekonomicznych. Bardzo słabo wyzyskiwane, a w znacznej części nawet nie zbadane bogactwa tej części świata nadadzą jej wkrótce takie znaczenie, jakie obecnie posiada Ameryka, a może nawet większe, bo Afryka stosunkowo dziś już gęściej jest zaludnioną.

Za lat kilka, kiedy zaborcy odgraniczą i obejmą w posiadanie swe działy, kolonizacyja rozpocznie się na dobre, a wraz z nią popłynie szerokim strumieniem kultura europejska, niosąc zagładę starym formom życia i nowo-poznanym ludom. Do niedawna sądzono, że Afryka nie nadaje się ze względów klimatycznych do kolonizacyi europejskiej, dzisiaj znaleziono już cały szereg miejscowości, które odpowiadają wymaganym warunkom. Zresztą europejczycy, zwłaszcza południowi, przystosowują się i aklimatyzują tu już w drugim pokoleniu. Rozumie się—podobnie jak jest nawet w Ameryce, zwłaszcza południowej—koloniści wytworzą nową rasę mieszaną, która od urodzenia jednak dziedziczyć będzie kulturę europejską.

Teraz już powstał projekt zbudowania wielkiej linii kolejowej trans-afrykańskiej i na u-

rzeczywistnienie jego niedługo nam czekać wypadnie. Plantacje, należące do europejczyków, istnieją już i na wschodnim i na zachodnim wybrzeżu. Towarzystwo angielskie, o którym wyżej była mowa, zamierza założyć wielkie fermy rolnicze. Tu i owdzie już zjawiają się nawet pierwsze fabryki dla przeróbki materyjałów surowych.

Opanowanie Afryki za lat kilkadziesiąt stworzy nowe źródła potęgi politycznej i ekonomicznej, wobec których, jak również wobec szybkiego wzrostu państw amerykańskich i Australii, nasza stara Europa okaże się lichym drobiazgiem. Postępy, jakie czynią niektóre państwa azjatyckie, zwłaszcza Japonija, coraz ściślej zespalają się z życiem narodów ucywilizowanych, uzupełniają ten wspaniały obraz, który dziś dopiero zaczyna się przed wzrokiem naszym odświeżać. Wielki ruch kolonizacyjno-zaborczy i idące za nim zespolenie wszystkich, dziś luźnych ogniw międzynarodowej organizacji polityczno-ekonomicznej stanowi najważniejszy objaw naszej epoki, którego doniosłości niepojmujemy jeszcze należycie, aczkolwiek już ją odczuwamy.

L.

Kółka rolnicze w Galicyi.

Prócz spraw gospodarstwa rolnego wielką też doniosłość w ogólnym podniesieniu dobrobytu posiada sprawa przemysłu domowego. Pierwsze tu miejsce zajmują usiłowania kółek w dziale przemysłu tkackiego. Kółka rolnicze w Szańcu i Czarnej górze, gdzie istnieje przeszło 100 warsztatów tkackich, w Czorsztynie z przyległemi gminami (412 warsztatów), Karkowej (przeszło 200 warsztatów) i Wilomowicach, gdzie od niepamiętnych czasów większa część ludności miejsciej oddawała się tkactwu — poczyniły starania o uzdolnionego nauczyciela, wprowadziły ulepszone warsztaty. Zwróciło również uwagę na ten dział kółka rolnicze w Upolach, które postanowiło zawiązać spółkę tkacką dla wyrobu sukna dla ludu wiejskiego. Drugie miejsce

w dziale przemysłu domowego zajmuje koszykarstwo, którem szczególnie interesują się kółka rolnicze: w Golcowej, gdzie wyrabiają rocznie przeszło 5,000 opalek i 2,000 koszów; w Jasle, gdzie założoną została szkoła koszykarska, do której kółka rolnicze pow. Jasielskiego i Krosnińskiego wysyłają uczniów na bezpłatną naukę; w Sosolówce, gdzie podjęto sprawę zaprowadzenia 3-letniego kursu koszykarstwa, mając na ten cel zapewniony odpowiedni materyjał i lokal; w Staromieściu i Zennicy, gdzie wyrabiają z trzciny trwałe, gustownie wykonane gięte meble. Następnie kółka rolnicze w Słopnicach królewskich podnosi potrzebę ulepszenia przemysłu w dziale kołodziejstwa i bednarstwa, który to przemysł w miejscowych stosunkach wielką ma przyszłość przed sobą.

Kółka rolnicze w Suchodole słynie ze swych pięknych wyrobów w dziale przemysłu koronarskiego.

W Wiśniczu nowym kółka rolnicze stara się o rozwinięcie przemysłu robót pończoszkowych. Nareszcie kółka rolnicze w celu zyskania dobrych rzemieślników wysyłają coraz to więcej młodzieży na naukę pojedynczych rzemiosł.

Kółka rolnicze zakładają też sklepiki, pożyteczne wiele dla włościan. Wielką doniosłość bowiem w budżecie rolnika stanowią wydatki na artykuły codziennego użytku, które, zazwyczaj, jako sprzedawane przez żydów, kosztują znacznie więcej nad swą istotną wartość i pochłaniają zupełnie niepotrzebnie z takim trudem zdobyty zarobek rolnika. Ażeby usunąć ten wyzysk żydowski, zarząd główny podał radę kółkom, ażeby zakładały u siebie sklepiki chrześcijańskie. Zarząd główny, otrzymując od kółek ciągłe zapytania, jak mają nabywać potrzebne im artykuły do miejscowego handlu, odniósł się do Towarzystwa krajowego kupców i przemysłowców z prośbą o wskazanie firm pewnych, u którychby sklepiki kółkowe mogłyby się zaopatrywać w potrzebne towary. Koszta na sprowadzenie towarów ponoszą kółka z kwot, zaliczonych przez pojedynczych członków. Pierwsze miejsce między nabywanymi przedmiotami zajmuje sól, sprowadzana w większych ilościach wprost z salin, nafta z dystrylarni w beczkach, a inne artykuły, o ile można, z pierwszej ręki, lub z hurtownych handlow. W myśl instrukcyi zarządu głównego, zwykle jeden z członków jest sklepikarzem, sekretarz zarządu rachmistrzem, a inni członkowie kontrolerami. Zarząd główny zaleca

kółkom łączenie ze sklepikami składów surowych produktów i wyrobów miejscowego przemysłu domowego, a przynajmniej tworzenie takich hurtownych składów w miastach powiatowych. Podobny skład już został założony w Jasle pod firmą „Skład produktów kółek rolniczych w Jasle”.

Skład ten zaczął działać z funduszem początkowym 1,000 złr. Przez pół roku sprzedano towarów za 28,000 złr., ponieważ zadawano się małym procentem, sprzedawano wszystkie towary taniej, niż w każdym sklepie i nawet pomimo tych niskich cen czysty dochód wynosił 543 złr.

Inne kółka też czynią usiłowania, ażeby założyć w odnośnych powiatach podobne hurtowne sklepy.

Sklepiki te przynoszą wielkie korzyści członkom, którzy otrzymują towar w doskonałym gatunku i po niższych cenach, unikając tym sposobem wyzyskiwania; prócz tego sklepiki dają sposobność nabywania towarów na miejscu i nie tracenia czasu na wyjazdy. Sklepików takich z końcem r. 1888 było 173.

Zarząd główny, ażeby zabezpieczyć mienie członków od ognia i gradobicia, zachęca ich do ubezpieczania swych budynków w Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie, od którego zarząd główny uzyskał zapewnienie pewnych ulg, zwłaszcza przy zbiorowym ubezpieczeniu, nabyciu przyrządów pożarnych i zakładaniu straży ogniowych. Z rokiem każdym ilość członków ubezpieczających swe mienie stale wzrasta.

Uzyskał też zarząd centralny od Związku Towarzystw zaliczkowych dogodniejsze warunki dla pożyczek z kas zaliczkowych na niezbędne wydatki: czy to w interesie kółek rolniczych wymagane, czy też dla członków na ich własne potrzeby gospodarskie.

Są też kółka, które zajęły się uporządkowaniem miejscowych kas pożyczkowych lub założeniem nowych kas. Niektóre kółka przychodziły z pomocą członkom swoim przez udzielanie pożyczek bezprocentowych dla rolników na zakupno nasion i dla rękodzielników — na zakupowanie materyjału. Ze wszystkich jednak punktów programu Towarzystwa sprawa kredytu włościańskiego w Galicyi jest najbardziej po macoszemu traktowaną.

Ażeby na szerszą skalę rozwinąć swoją działalność, zarząd główny postanowił w ostatnich

9)

WYSADZONY Z SIODŁA.

Powieść.

PRZEZ

Antoniego Sygietyńskiego.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ III.

Rzecz się tak miała: ojciec Cieżyńskiego został opiekunem prawnym majątku i osób, należących do rodziny Ernesta Załogowskiego pod koniec 1864 roku. Nikt w okolicy, gdzie obydwie te rodziny: Załogowskich i Cieżyńskich, miały swoje posiadłości ziemskie, wypadku tego nie przewidywał; — a jednak inaczej prawie być nie mogło.

Potrzeba gotówki na prowadzenie gospodarstwa forsownego i głowy do rozplątywania powikłanych interesów, wpłynęła na to, że w danej chwili Cieżyński-ojciec stał się dla rodziny Załogowskich człowiekiem opatrnościowym. Nikt na razie nie umiał wymyślić opiekuna lepszego, jakkolwiek nikt odrazu nie uważał go za dobrego. Wprawdzie jego żona była daleką krewną żoną starego Załogowskiego, — dziewiąta woda po kisielu, — lecz ani związki rodzinne, ani stosunki sąsiedzkie nie grały tu roli.

Przedewszystkiem była to chwila, w której

sentymalizm i gośłowna przyjaźń nie wystarczały, — i tylko ludzie, posiadający gotówkę, spryt do interesów i pewną odwagę cywilną, mogli w niej nie uleść. Stary Cieżyński miał i odwagę cywilną, ponieważ sam się oświadczył z pomocą rodzinie Załogowskich, i doświadczenie prawnicze, które dawało mu przewagę moralną nad wszystkimi sąsiadami w okolicy Łukowa, i trochę gotówki, która w czasie ówczesnego przełomu ekonomicznego znaczyła bardzo wiele.

Z zawodu był to prawnik, obrońca „minorum gentium”, rodzaj pokątnego doradcy, który przeważnie zajmował się wynajdywaniem sum na hipoteki i pośredniczeniem w kupnie i sprzedaży majątków ziemskich. Z tego nawet powodu, w całym powiecie łukowskim, gdzie, zanim został jego obywatelem, głównie prowadził swoje interesy, nazywano go powszechnie *osobą trzecią*, — przez aluzję do ogłoszeń w gazetach, iż w takim a takim miejscu jest do sprzedania majątek ziemski bez pośrednictwa *osób trzecich*.

Z usposobienia, z natury, był to pieniacz i krętacz, który podejmował się najgorszych i najbardziej zawikłanych spraw. Tą drogą doszedł do posiadania gotówki i wcale pokaźnego folwarku, graniczącego właśnie o miedzę z Ocieszynem, dziedzicznym majątkiem Załogowskich. Pierwotnie miał on na nim tylko niewielką sumkę, pożyczkę, zabezpieczoną wprawdzie na hipoteczne pomienionego folwar-

ku, ale udzieloną więcej z dobrego serca, niż z interesu, biednej wdowie z sześciorgiem dzieci, która tym tylko sposobem mogła się utrzymać przy majątku znacznie już obdłużonym. Po paru latach jednak, zwłaszcza, iż o procenty nie upominał się nigdy, stał się jego tytularnym i rzeczywistym właścicielem, co mu zresztą łatwo przyszło, gdyż najpierw wszedł na hipotekę ze skapitalizowanymi procentami, a następnie wystawił majątek na subhastację i sam go kupił.

Rzecz prosta, iż sąsiedzi za takie wykwirowanie podstępne biednej wdowy byli na niego serdecznie oburzeni, i, kiedy, już jako właściciel Zagrody-Żbichowskiej, zjawił się na jakimś zebraniu czy zjeździe powiatowym, wszyscy odmówili mu podania ręki. Była to kara wymierzona instynktownie na człowieka, który mało się rachował z sumieniem a jeszcze mniej z opinią publiczną.

Lecz opinia publiczna u nas jest albo wyrozumiała, albo bardzo krótkiej pamięci; z konieczności posiada ona zasadnicze cechy naszego charakteru: lekkomyślność i brak wytrwałości. Albo nie potępiamy danego czynu dostatecznie, albo, jeżeli raz zdobędziemy się na potępienie kogoś, to nie chcemy, czy nie umiemy przy naszym sądzie obstawać. Parę lat wystarczy na to, aby tłuste plamy zostały wywabione, brudy wyprane. To też w tej wielkiej pralni etycznej, nazywanej u nas opinią publiczną, czas, i to nawet niedługo,

czasach wydawać pismo, poświęcone wyłącznie sprawom kółek rolniczych: „Przewodnik kółek rolniczych”. Zadaniem tego pisma jest obznajmianie z całkowitą działalnością, przez kółka rolnicze dla dobra ludu podjęta, oraz dostarczanie wskazówek i informacji kółkom we wszelkich kwestiach z zakresu ich działalności.

I tak pismo przedewszystkiem informuje o nowo założonych kółkach, przytacza dokładną historję kółek, których członkowie odznaczyli się szczególną gorliwością, energiją i inicjatywą, wymienia nawet dzielniejsze osobistości. Rubryka ta p. t. „Co się dzieje w pojedynczych kółkach rolniczych”, jest bardzo pożyteczną: przedewszystkiem daje ona dokładny obraz działalności pewnych kółek, a dla innych opisy podobne stają się wzorem, przykładem do naśladowania, pobudką do działania. Publiczne podziękowania stają się bodźcem dla wielu w pracy. Nakoniec „Przewodnik” udziela często rad i wskazówek np. jak kółka rolnicze bronić się winny przeciw opodatkowaniu swych sklepików, gdzie, u jakich fabrykantów i za jaką cenę kupować mogą dla siebie towary np. mydło, maszyny i narzędzia rolnicze, naftę, sól, nawozy sztuczne i t. d.

Także znajdujemy tu wiadomości o szkołach rolniczych dla włościan. W zeszycie pierwszym „Przewodnika” podane są warunki przyjęcia do „niższej szkoły rolniczej” w Jagielnicy, znajdującej się pod zarządem wytrawnego agronoma, Antoniego Świeżawskiego, byłego lustratora, która wykształca synów włościańskich na gospodarzy praktycznych. Szkoła przyjmuje uczniów od pierwszego lipca. Nauka jest bezpłatna, za utrzymanie uczniowie płacą 150 złr. rocznie, w pewnych razach uczeń może być przyjęty za pół ceny, a nawet darmo. Dla dokładniejszego przedstawienia obrazu kółek, podamy tu wyjątki z rubryki i Przewodnika p. t. *Co się dzieje w pojedynczych kółkach rolniczych?*

Grębów (pow. Tarnobrzęski). Zawiazane w roku 83 przez zasłużonego sprawię kółek rolniczych, prezesa zarządu powiatowego, Henryka Dolańskiego, liczyło kółko członków 33. Pierwszem staraniem kółka było zwoływanie członków na zebrania niedzielne, na których odczytywano pouczające ustępy o gospodarstwie, o czynach sławnych ludzi i t. d.

Przy końcu roku 1883 liczy kółko 62 członków, którzy uchwalają założenie sklepiku, początkowo tylko dla sprzedaży soli i nafty, a stopnio-

wo, w miarę przybywania członków do kółka, zaopatrują sklepiak w inne towary.

Już w roku 1884 roczny obrót w sklepiaku wynosi blisko 4,000 złr., w roku 85 przeszło 5,000 złr., w r. 1888 zwiększa się w dwójnasób, bo przeszło 10,000 złr. W roku 1886, gdy liczba członków wzrosła do 202, sprowadzają wszelkiego rodzaju potrzebne artykuły, jak: korzenne, bławatne i galanteryjne, a nadto staje się sklepiak składem miejscowych wyrobów: miotła i kół do pługów, chętnie w sklepiaku kupowanych, przez co, szczególnie w zimie przy braku zarobku, niejednemu w gminie dostarcza się sposobu do utrzymania. Dla wygody ludności miejscowej sprowadzają także do sklepiaku wprost z Węgier wino w beczkach po 73 litry i sprzedają na butelki bardzo tanio. Urządzają też przy sklepiaku pożądaną w każdej gminie apteczkę, zakupując z apteki w Rozwodowie, z znacznym opustem nabywane, materyjały lecznicze jak: syntypizma, papier Rigolot, papier Wlinsi i t. d.

Zwierchność gminy, widząc jak gorliwie krząta się kółko około dobra swych członków, udzieliła mu hojny dar 500 złr. i dała w domu urzędu gminnego lokal na sklepiak kółkowy.

Gorliwie też dopomaga kółku pan Henryk Dolański, który 100 złr. ofiarował na założenie sklepiaku, zwrócił kosztą na zbudowanie składu na naftę, na rzecz kółka ofiarował 100 złr., wysłał swoim kosztem członka kółka Michała Sarwę do p. Stochlińskiego na naukę postępowego pszczelnictwa i wyrabiania ulów słowiańskich. Sprawozdanie z roku 86 wykazuje 113 członków kółka, którzy przystąpili do Krak. Tow. wzajemnych ubezpieczeń, a w latach następnych liczba ubezpieczonych wzrasta. W roku 85 lustrator p. Zygmunt Gawarecki zwiedził kółko rolnicze w Grębowie i miał pouczające wykłady gospodarze, co też członkowie kółka postanowili wyzyskać. W roku 86 uchwała kółko na posiedzeniu urządzenie dla nauki i przykładu innych wzorowej gnojowni. Uchwałę tę wykonywa jeden z najgorliwszych członków kółka, gospodarz Jan Gil. Za pośrednictwem zarządu głównego sprowadziło kółko 17 siewkarń, z których 15 dla pojedynczych członków, a 2 z funduszu kółka dla ogólnego użytku członków, jedną roczną młocarnię i jeden siekacz do buraków, zakupiono z funduszu kółka knura rasy angielskiej za 20 złr., z którego członkowie korzystają darmo, a inni mieszkańcy gminy za opłatą 20 ct., na dochód członka kółka, utrzy-

mującego knura. Zaprowadza kółko straż pożarną i z funduszu swoich daje na ten cel 150 zł., równą kwotą przyczynia się i gmina, a Towarzystwo ubezp. w Krakowie daje 70 zł. Zakupiono sikawkę, beczkę do dowozu wody, konewki płócienne, 15 strażaków opatrzone w hełmy, pasy, trąby, pochodnie i toporki.

Straż ta, pod dowództwem członka kółka rolniczego Leopolda Prottunga, już przy 2-oh pożarach udowodniła swą użyteczność, a w roku 88 podczas wielkiego pożaru w Tarnobrzegu o 2 mile od Grębowa oddalonego, udała się z pomocą na miejsce wypadku.

Włościanie, którzy z początku niechętnem okiem patrzyli na tę nowość, później, przekonawszy się o wielkiej użyteczności tejże straży ochotniczej, błogosławili jej założycieli, mówiąc: „Przecież to dobra rzecz ta straż ogniowa, ileby było nieszczęścia bez niej. I sikawka wyborna, jak to z niej woda daleko sięga, a każdą szparą do ognia wlezie, to i musi go zalać”. W roku 85 ofiarowane przez zarząd główny 200 dziełków owocowych i 30 uszlachetnionych drzewek zostały w części rozlosowane między członków kółka, a w części dały podstawę do założenia własnej szkolki drzewek owocowych. Zarząd też kółka postanowił kosztem składek wspólnych zasadzać drzewka na nieużytkach, oraz wzdłuż ulic i dróg wiejskich, co zostało też w czyn wprowadzone i zasadzono drzewami różnego gatunku puste miejsce przed kościołem, szkołą i sklepikiem kółka; później miejsca te ogrodzono. (d. c. n.)

Lud w programach demokratycznych.

Nauka społeczna dużo na tem cierpi, że ludzie, uzdolnieni do „przyśadywania sobie fałdów (to take pains)” nad gromadzeniem pojedynczych faktów i drobnych wiadomości, często nie są w stanie robić z nich najmniejszego rozumnego użytku.

Lester F. Ward.

I.

Zapowiadając przed kilku tygodniami rozbiór niektórych kwestyj, poruszonych w „Złudzeniach demokratycznych” p. K. R. Żywickiego, zrobiliśmy przepuszczenie, że autor tej pracy nie da nam powodu do prowadzenia rozprawy w tonie

jest najlepszą kombinacją terpentyny, amoniaku i mydła, w której tłuszcze naszego sumienia doskonale się rozpuszczają i same spływają do zlewu zapomnienia.

Z początku nikt nie chciał podać pierwszy staremu Cieżyńskiemu ręki; po pewnym jednak już czasie nikt nie śmiał nie podać, i sąsiad, w dwa czy trzy lata, uczył się czystym, ponieważ pralnia opinii publicznej, zajęta zmydleniem innych może tłuszców, nie chciała, czy nie miała czasu prać brudów jego sumienia.

Zresztą nie był to człowiek bez pewnych zalet. Przedewszystkiem umiał każdemu poradzić, jak kogo okpić, albo jak się nie dać okpić, kogo do sądu pozwać, a komu nie stanąć, z kim się prawować do ostatniej koszuli, a komu pocichu ustąpić: więc wszyscy mieli więcej interesu do niego, niż on do nich. A przytem był dowcipny, wesoly i towarzyski: grał doskonale w karty, pił tego i nie upijał się nigdy, rozprawiał o polityce składniej i gruntowniej, bo czytywał gazety, niż wszyscy razem sąsiedzi, — i był nadzwyczaj pobożny: w czasie nabożeństwa nie siadał nigdy w ławce, lecz, stojąc lub klęcząc, modlił się gorąco; na kościół pieniędzy nie skąpił, a posty wszelkiego rodzaju obserwował pilnie.

Zresztą, czyż to nie cnota, iż człowiek, który przez tyle lat kręcił sprawami, jako mały, nędzny adwokat, zapragnął na starość, kiedy go sumienie może ruszyło, oddać się

szlachetnemu zawodowi gospodarowania na wsi, osiąść w zapadłym kącie powiatu łukowskiego, zamienić paskudny bruk Warszawy na czystą ziemię, papier stęplowy na rolę, pióro na lemiesz — słowem, zostać „szlachcicem”? Co prawda, nie zapomniano mu nigdy, iż jako syn mieszczanina nie miał herbu lecz za to po kilku już latach nie pamiętano wcale ani jednej jego sprawy na warszawskim bruku, a nawet wykwitowania biednej wdowy z Zagrody-Żbichowskiej. Sentymentalizm dopomógł czasowi — i sąsiad został czystym, ponieważ był potrzebnym.

Kiedy Ernest Załogowski, młody jeszcze, bo dwudziesto-ośmioletni właściciel Ocieszyna, dużego majątku, jaki przed kilku laty odziedziczył po ojcu, opuścił rodzinę, złożoną z młodej żony i pięcio-letniej córeczki, stary Cieżyński sam zaofiarował się z pomocą. Początkowo zwracano się do innych sąsiadów; lecz nikt nie mógł, nikt nie śmiał, nikt nie miał odwagi cywilnej, nikt nie umiał zająć się przedewszystkiem losem osobistym młodego Załogowskiego, a następnie sprawami jego majątku i jego rodziny. Ostatecznie pomoc, prawdziwie sąsiedzka, obywatelska, Cieżyńskiego przyjęto, i ponieważ Cieżyński miał na razie gotówkę, której nikt w tym czasie nie posiadał, a nadto stosunki i spryt, więc zrobił dużo dobrego dla osoby młodego Załogowskiego i bardzo wiele dla jego majątku.

Przedewszystkiem, nikt w okolicy nie prze-

prowadził korzystniej dla majątku sprawy u własczenia włościan, a następnie nikt lepiej nie wykręcił się z katastrofy ekonomicznej, jaka, wskutek nagłej zamiany pańszczyzny na robotę za gotówkę, nastąpiła zaraz po reformie. I można powiedzieć, że stary Cieżyński swymi stosunkami i pieniędzmi uratował młodego Załogowskiego od zguby osobistej, a jego majątek od ruiny natychmiastowej. Co prawda, nie zrobił tego swoim kosztem, gdyż wszystkie wydatki, jawne i ukryte, co do grosza policzył i w ogólnej sumie na hipotecę Ocieszyna zabezpieczył; lecz czy mogło inaczej? I tak szczęście, że się taki dobroczyńca znalazł. Bo cóż-by ta młoda, dwudziestokilkoletnia kobieta zrobiła? Czy miała doświadczenie? Czy miała pieniądze na najpilniejsze i niesodzowne potrzeby gospodarstwa, które trzeba było prowadzić na nową modłę? Czy umiałaby znaleźć, poza pachciarzem swoim, kogoś, ktoby jej pożyczyl bodaj tysiąc rubli?

Cieżyński, zaraz po objęciu Ocieszyna w administracyję, wystarał się w Warszawie o sumę pięciu tysięcy rubli na 12%, rzecz niesłychana w owym czasie, które umieścił na hipotecę, — a w dwa lata potem wziął z Towarzystwa kredytowego ziemskiego przypożyczkę czterech tysięcy rubli na miejsce długu, już spłaconego ratami.

Wprawdzie hipoteka Ocieszyna obciążoną została jakimiś trzydziestoma tysiącami rubli, lecz cóż to znaczyło?... Dług Towarzystwa

polemicznym... Replika p. K. R. Żywickiego na mój artykuł (Nr. 17 *Prawdy*) okazuje, jak nieostrożnym było to przypuszczenie, obliczone na roztropność i poczucie taktu przeciwnika.

P. K. R. Żywicki na zarzuty i zapytania nasze nie odpowiada. Pod sprytnym acz dwuznacznym tytułem „O prawdę” zarzuca on nam w swej replice antysemityzm, mało-mieszcząskosc, „złą wiarę”, nierozumienie jego twierdzeń, mnie osobiście nazywa „pamflicystą”, a po tem wszystkim (literalnie wszystkim) „ustępuje z pola”, strojąc mię brutalnie pogrzebionej niewinności!

Niewczesne żarty! Nas przecie ani te ślepe strzały nie ranią, ani pantomina melodramatyczna nie wzrusza...

Zbyteczna chyba nadmieniam, że jak dotychczas w wystąpieniach moich z powodu p. K. R. Żywickiego nie kierowaliśmy się żadnymi względami osobistymi, tak też i nadal kierować się nimi nie będziemy. Lecz stratagemy w rodzaju wspomnianej repliki nie mogą pozostać bez skutku. Wprawdzie nie mogą one wpływać na istotę naszego stosunku do p. K. R. Żywickiego, zmieniają wszakże charakter jego, zwalniając nas od względów, dla których byliśmy gotowi tego pana oszczędzać. Nie nasza więc w tem wina, że, skoro nie zadawała go dotąd rola przeciwnika, traktowanego surowo lecz poważnie, zadawała go odtąd będzie rola hetki-petelki.

Co się tyczy „Złudzeń demokratycznych”, to, jak nas zapewniano, mają się one ukazać w osobnym wydaniu z rozmaitemi zmianami i dodatkami. Należy mniemać, że obiecane poprawki znakomicie wartość publicystyczną i gramatyczną tego wypracowania podniosą: może więc—jeszcze chwilka—a p. K. R. Żywickiego w całej okazałości ujrzemy. Pomówimy o nim wtedy obszerniej.

Tymczasem,—z tego, co teraz mamy pod ręką, wybierzemy, co najistotniejsze, najbardziej charakterystyczne i co nas najbliższej obchodzić może z uwagi na „podstawowe założenia” *Głosu*.

Nie będziemy zresztą ograniczać zadania swego li-tylko do krytyki poglądów p. K. R. Żywickiego. Wprawdzie bowiem poglądy te, jako przykłady odkształcania się wielkich myśli w umysłach ciasnego objęcia, mogą być nieraz same przez się ciekawe, — uważamy jednak, że, wobec doniosłości tych zagadnień społecznych, do których się poczepiały, udzielanie im tutaj wiele czasu i miejsca byłoby raczej wyrazem sportu niż potrzeby. Zagadnienia te będą głów-

nym naszym przedmiotem; w związku zaś z nimi rozpatrzmy parę innych kwestyj, jakkolwiek w „Złudzeniach demokratycznych” nie było o nich mowy.

Ale i z p. K. R. Żywickiego „samego przez się” nie omieszkamy skorzystać. Będziemy się nim posługiwali *to fix a mind*, jak mówią Anglicy,—do osadzania, opierania myśli. Inaczej mówiąc, będzie on dla nas rodzajem zera, do którego, używając np. termometru, co chwila wypada się zwracać.

Zdaje mi się, iż pozostałbym cokolwiek dłużnym sz. autorowi „Złudzeń demokratycznych”, gdybym się z tego choć w paru słowach nie wytkłomaczył.

Każdemu, kto pisze, służy nieograniczone prawo wybierania sobie formy utworu, stosownie do upodobania. Korzystając z tego prawa, wybieram pamflet.

P. K. R. Żywicki używa tego wyrazu oraz jego pochodnych w znaczeniu nazw czy przezwisk obrażających. Ponieważ p. K. R. Żywickiemu często się trafia bywać chodzącym, mówiącym i piszącym synonimem nierozumienia wyrazów,—pospieszam w krótkości objaśnić: jakim jest właściwe znaczenie pamfletu. Uczynię to za pomocą porównania i paru przykładów.

Antytezą pamfletu jest paszkwil.

Paszkwil, nawet w najlepszym razie, oznacza tylko napaść osobistą, nawiązaną do jakiegokolwiek sprawy ogólnej. Pamflet, wprost przeciwnie, w najgorszym nawet razie oznacza wystąpienie w sprawie ogólnej, nawiązane do osobistości.

Brozura „Pod pręgierzem”, wydana niedawno, jest przykładem paszkwila.

Lecz „Letters” D-ra Junius'a były pamfletem, „La misère de la philosophie” K. Marxa jest pamfletem, „Herr Bastiat-Schultze von Delitzsch” F. Lassalle'a—jest pamfletem...

Otóż, *si parva magnis comparare licet*, i moja praca będzie pamfletem.

Mam nadzieję, iż czytelnicy raczą mi wybaczyć ten wstęp, być może, nieco przydługi.

„Złudzenia demokratyczne” p. K. R. Żywickiego należą do kategorii tych wyrobów publicystycznych, które, dzięki jakiemś zartowi przypadku, stają się u nas od pewnego czasu specjalnością „Ludwików”.

Zamiarem autora było prawdopodobnie kry-

tyczne rozejrzenie się w dość licznych obecnie a względnie nowych u nas objawach ruchu społecznego, mających czy też tylko rozszczępczących sobie prawo do miana demokratycznych. Zamiar, rozumie się, chwalebny a pomysł szczęśliwy! Rzecz taka, wykonana sumiennie, poważnie i ze znajomością rzeczy, byłaby bardzo na czasie i odpowiedziałaby najistotniejszym wymaganiom intelektualnym tego ruchu.

Cóż,—kiedy siły tak rzadko dopisują zamiaram a wykonanie tak często stanowi o wszystkim!...

Nie myślę powiedzieć przez to, iż „Złudzenia demokratyczne” p. K. R. Żywickiego są po prostu rzuceniem się z motyką na słońce. Porównanie to byłoby pozbawione wszelkiej analogii. Nierównie właściwiej będzie, mojem zdaniem, nazwać je antydemokratyczną „jazdą” p. K. R. Żywickiego na jednej z p. Ludwikiem Straszeviczem karuzeli. Wypadnie tylko dodać, że, gdy błogosławionej pamięci Ludwik Straszewicz siedział tyłem, p. K. R. Żywicki usiadł przodem do ruchu.

Porównywanie tych „ludwików” ze względu na ich sposób brania się do rzeczy, z łatwością znajdziemy parę różnic na korzyść jadącego przodem.

P. Straszewicz, ujadając ongi na demokratów, nieuków, radykalistów, wicherzycieli i t. podobnych wyrzutków społeczeństwa, najwięcej prawdopodobnie dbał o to, żeby nabrać wprawę w używaniu mowy członkowanej.

P. K. R. Żywicki sięga znacznie dalej. Mniej hałaśliwy, jest on nierównie śmielszy a przytem równie ambitny, jak zarozumiały. Ten się nie czuje w przedmiocie jak w cudzym—ale jak we własnym lesie, i wie doskonale, gdzie rydz, gdzie grzyb a gdzie surowiatka. Ten nie zawodzi i nie wyrzeka. Ten nie dramatyzuje swych sympatyjek, antypatyjek i swych stosunków z przeszłości. Ten z kopyta, i to obie- ma nogami odrazu, wskakuje do samego centrum warcholstwa i nieuctwa, i śmiało wyladowywa tam zasób powysiadanych osobistości lub powyrwanych z książek frazesów.

Owem centrum, owym punktem ogniskowym, zbierającym około siebie wszystkie „złudzenia demokratyczne”, jest podług p. K. R. Żywickiego nazwa „ludu.”

„Lud”, zdaniem jego, jest nazwą bez znaczenia, znacznym słownym bez treści, złudzeniem nieuckiem „ludzi, którzy gotowi są na wszelką

dwadzieścia tysięcy rubli, nie liczy się; właściwego więc długu było dziesięć tysięcy rubli, fraszka na taki majątek, którego wartość oceniać można było wówczas, pomimo deprecjacji ziemi, na osiemdziesiąt do stu tysięcy rubli. To też gospodarstwo szło jak zegarek: wszystko zrobione na czas, wszystko na czas sprzedane, wszystkie interesy załatwione. Tak trwało pięć lat. Rada rodzinna była zachwycona, Ernest Załogowski szczęśliwy, iż wybór opiekuna przeszedł jego i wszystkich oczekiwania.

Lecz nagle zaczęło się rwać. Gotówka włożona w melioracje wyczerpała się; jeden rok nieurodzaju dał niedobór kilku tysięcy rubli, zaraza na owce w drugim pozbawiła majątek inwentarza i nawozu, wydatki zaś osobiste rodziny w trzecim powiększyły się w sposób niezmierny. Rzecz czysto losowa. Żona Załogowskiego ciężko zachorowała. Z początku leczyła się w domu. Ponieważ jednak opieka miejscowego lekarza i lekarzy sprowadzanych z dalszych okolic okazała się niedostateczną, postanowiono wywieźć chorą do Warszawy. Cieżyński syn, podówczas już prawnik skończony, wynajął mieszkanie w hotelu: kilka pokojów, gdyż pani Załogowska zjechała z córeczką i panną służącą, sprowadził lekarzy, najlepszych jacy byli, zajął się dostawą jedzenia, słowem zaopiekował się chorą w zupełności. Nieszczęście jednak mieć chciało, że wszelkie starania i wysiłki na nic się nie zdały.

Choroba okazała się rakiem, którego operacyi postanowiono dokonać w Wiedniu, dokąd Cieżyński syn towarzyszył chorej. Operacyja powiodła się, lecz chora po powrocie do Warszawy w kilka tygodni umarła. Rachunek ogólny, pod pozycyją: *Choroba W-nej Załogowskiej*, wyniósł, poczynawszy od pierwszej wizyty lekarza z miasteczka X, a skończywszy na trumnie wraz z kosztami pogrzebu, 5875 rs. z kopiejkami. Wszystko to razem pochłonęło kilkoletni dochód z majątku i wywołało konieczność zaciągnięcia nowej pożyczki na hipotekę Ocieszyna, jakichś pięciu tysięcy rubli, których tym razem dostarczyła matka przyszłej żony Cieżyńskiego syna.

Lecz odtąd gospodarstwo zaczęło upadać. Zboże sprzedawano byle jak, byle zapłacić procenty od wierzitelności i wystarczyć na potrzeby rodziny, uprawa chromała z powodu braku inwentarza i robotnika, budynki szły w ruinę, narzędzia gospodarcze znikły bez śladu. A ponieważ trzeba było z punktualnością zegarka opłacać pensyję Zosi, jakieś 1,500—2,000 rs. rocznie, i posyłać w dwóch ratach półrocznych po 250 rubli Załogowskiemu, więc rewersy na wielkie procenty mnożyły się z półroczna na półroczne, z roku na rok. Przyznać jednak należało, że rachunki były w porządku. Stary Cieżyński prowadził rejestry gospodarcze z wzorową pilnością, zarówno pod względem ścisłego notowania pozycyji jak i kaligrafii, i to aż do o-

statecznego tchnienia, aż do śmierci, która nastąpiła prawie nagle, w 1875 roku.

Opiekunem po nim został Jan Cieżyński, który, już jako trzydziesto-kilkoletni naówczas adwokat, cieszył się dużą praktyką i sławą zręcznego krętacza. Rzecz naturalna, iż prowadzenie interesów zagmatwanych Ocieszyna można było powierzyć tylko w ręce człowieka zręcznego i przebiegłego, i nikt nie był godniejszym tego wyboru, niż Cieżyński - syn, który pod tym względem o wiele jeszcze przerażał ojca, ponieważ, oprócz znajomości interesów i spraw, posiadał nadto dużą oglądę towarzyską. I on też, równie jak jego ojciec, posyłał Załogowskiemu regularnie co pół roku 250 rubli, opłacał w terminach ściśle oznaczonych pensyję Zosi, i prowadził rachunki z całą pedanteryją buchaltera i kaligrafa. Lecz majątek chylił się coraz bardziej do upadku, a rewersy gromadziły się z roku na rok.

Teraz głównym dostawcą pieniędzy był Werthsmann, lichwiarz z Warszawy, który na każde zawołanie dostarczał sum odpowiednich, zamieniał jedne rewersy na drugie, gdy dominium Ocieszyn nie było w stanie zapłacić ani sumy ani procentu, i nie włąził na hipotekę, czemu się dosyć nie mogli nadziwić sąsiedzi.

(d. c. n.)

A. Sygietyński.

ofiare dla ludu krom przysiedzenia fałdów nad nauką społeczną."

Jest-to „etykieta, przyczepiana na różnorodnym zbiorowisku interesów." Jest-to „nazwa, pokrywająca najrozmaitsze dążności nie tylko odmienne lecz nawet wprost przeciwno... wrogie sobie", i, gdzieindziej, „choćby np. w pobliskich Niemczech, już zupełnie świadomie walczące ze sobą." I t. d.

Dośkonale!
Pomińmy iście asyryjską budowę tych określeń; pomińmy to także, iż w innym miejscu „złudzeń demokratycznych" lud oznacza stek „obszarpanych, zgłodniałych i zbydlęconych istot ludzkich" ¹⁾, a postaramy się sprawdzić, czy rzeczywiście pojęcie owego „ludu" nie jest fatalną omyłką w formułach politycznych takiej drobnostki, jaką jest cała ludzkość ucywilizowana? Czy nie było schronienie się p. K. R. Żywickiego, przed rokiem, do *Prawdy* rodzajem he-dżyry? Czy młynkowane frazesy nie stanowią czasem nowego objawienia ludzkości a „Złudzenia demokratyczne" pierwszych „hatti" nowobisurmaństwa?

Mowi nam tedy p. K. R. Żywicki o nazwie pozbawionej treści... Pójdźmy jego śladem i, dla początku, przeniesmy sprawę na grunt formalnie logiczny.

Nazwy podobnego rodzaju istnieją. Należą tu imiona własne, np., pseudonimy literackie, które rzeczywiście mogą być nakształt etykietek przyklejane na artykułach, umieszczanych wczoraj w *Głosie*, dziś w *Prawdzie*.

Lecz oprócz tych stosunkowo nielicznych „nazw etykietek" istnieje rozległa kategoria *nazw ogólnych*, posiadających to, co nazywają niekiedy „treścią" i „zakresem" wyrazu.

Logika jasno znaczenie ich określa. Są-to, mianowicie, nazwy, które z jednej strony *oznaczają* pewną liczbę przedmiotów, lub grup przedmiotów, z drugiej zaś—*współznaczają* własności albo cechy tym wszystkim przedmiotom lub grupom wspólne. „Stolica" np. jest nazwą ogólną, oznacza bowiem Paryż, Londyn, Wiedeń i t. d., współznacza zaś tę wspólną tym wszystkim miastom cechę, że są siedziskami centralnych organów rządu.

Rzeczy te są powszechnie znane, a przynajmniej znaleźć je można w każdym elementarnym podręczniku logiki. Nie powtarzalibyśmy też ich tutaj, gdyby nie uwaga Bacona, iż „ludzie z pretensyjami do uczoności ani się czasem domyślają, ileby mogli skorzystać, przypominając od czasu do czasu najbardziej elementarne wiadomości." Wypowiadając to zdanie, wielki filozof musiał mieć przecucie ukazania się na świat p. K. R. Żywickiego.

Nasz nieszczęsny wyraz „lud" jest także nazwą ogólną. *Oznacza* on rozmaite grupy społeczne—jak najemników fabrycznych, robotników wiejskich, rzemieślników, drobnych właścicieli rolnych, i t. p., *współznacza* zaś tę wszystkim tym grupom wspólną cechę, że się składają z bezpośrednich wytwórców wartości materialnych.

Cecha wskazana tutaj stanowi oznakę zasadniczą wszelkiej grupy lub klasy ludowej, ale nie jedyną. Obok tej postawić winniśmy drugą, nie mniej znaczącą lub pochodną, która stanowi ogólnoprawne następstwo wytwórczościowych stosunków społeczeństwa. Jest nią pewien stopień udziału w korzyściach organizacji społecznej, w cywilizacji i kulturze, albo, mówiąc krócej, taki udział w podziale bogactw, jaki ustawy prawne lub zwyczajowe wskazują jednostkom, pracującym fizycznie.

Z uwagi na tę drugą oznakę również do ludu zaliczamy tę, np., liczną, bo stanowiącą około 30% ludności wszystkich większych miast Europy i Ameryki, klasę, która się składa z jednostek, zatrudnionych w służbie strażniczej, osobistej, domowej, transportowej i t. p. Wymieniając ją tu jako przykład, mieliśmy jeszcze na

względnie, że szeregi jej są w znacznym stopniu zapełniane przez wychodźców ze wsi, którzy, po największej części, z niej dopiero w drugim pokoleniu lub nawet później ściekają do szeregów właściwego proletariatu miejskiego już-to robotniczego, już żebraczego. Posiada ona skład szczególnie zmienny, ruchomy; zwłaszcza zaś w społeczeństwach o niezbyt rozwiniętej, lecz rozwijającej się wielkiej produkcji, stanowi rodzaj olbrzymiego zbiornika ludzi, który jest ustawicznie przez wieś napełnianym a przez rękodzielnie, fabrykę i ulicę równie ustawicznie wyczerpywanym...

Oto jest w najogólniejszym zarysie „treść" i „zakres" wyrazu, któremu przypadła rola „kółka" na antydemokratycznej karuzeli p. K. R. Żywickiego.

Opuszczając teraz pole definicji logicznych, wstępujemy na grunt dziejowo-społeczny, gdzie się postaramy wejrzeć w te „rzeczy" które ta nazwa oznacza, zgłębić pojęcia, którym odpowiada, i roztrząsać sofizmaty, w których ją autor „Złudzeń demokratycznych" uplątał.

Widok wolnych ćwiczeń p. K. R. Żywickiego na tak rozległym polu uprzyjemniać nam będzie drogę aż do samych „jego" postulatów nauki społecznej, o których później pomówimy osobno.

A. Więckowski.

„2,000—1887".

Ponieważ oddajemy pod prasę przekład rozgłosnego dzieła Edwarda Bellamy'ego: „Looking backward. 2000—1887", uważamy przeto za stosowne poprzedzić to wydawnictwo podaniem treści dzieła, jako też zarysem ruchu, który wywołało.

Red.

Powieść Waltera Besanta spowodowała otwarcie w Londynie wspaniałego „Pałacu ludowego". Większe jednak jeszcze skutki wywołała powieść nieznanego prawie poprzednio powieściopisarza amerykańskiego, Edwarda Bellamy'ego, pod tytułem *Looking backward. 2000—1887*. W ciągu dwóch lat rozeszła się ona w Ameryce w ilości 240,000 egzemplarzy, w Anglii w 40,000; przełożoną też już została na kilka języków. Niedosć tego, idee zawarte w dziele znalazły wielu zwolenników, którzy zawiązali się w ligę, mają 80 klubów własnych i od maja r. z. wydają pismo, specjalnie poświęcone szerzeniu poglądów ligi.

Czemże jest owo dzieło z zagadkowym tytułem: „Rzut oka wstecz. 2000—1887"? Jest to nowa utopia, orzekają krytycy. Powiadają krytycy, bo zauważyć musimy, iż dzieło to wywołało poważne recenzje: z obszernymi artykułami o powieści wystąpili tacy uczeni, jak profesor bostoński Gilman, jak Emil de Laveleye i jak Janżuk. Istotnie, autor w swej powieści przedstawia nam szczegółowo w formie beletrystycznej ustrój społeczny Stanów Zjednoczonych „w roku pańskim 2000". Młody, bogaty i wykształcony bostończyk, Julijan West zostaje uspijony magnetycznie w r. 1887 i dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności obudzono go za ledwie w r. 2000-ym. Dzieło Bellamy'ego jest właśnie opowiadaniem Westa o tem, jakie zmiany w ustroju społecznym swego rodzinnego kraju znalazł on po 113-letnim śnie. Jak widzimy, wygląda to istotnie, jak nowa „utopia". Miano to, użyte przez Tomasza Morusa dla fantastycznej wyspy, której mieszkańcy wprowadzili w życie ustrój, uważany przez autora za idealny, stało się odtąd nazwą ogólną, nadawaną wszelkim usiłowaniam szczegółowego przedstawienia idealnego ustroju społecznego.

Do niedawna reformatorzy społeczni postępowali zawsze w ten sposób, iż tworzyli w myśli ideał ustroju, wolnego od wszystkich wad, trapiących w danej chwili ludzkość i przedstawiali ten ideał, jako wzór do naśladowania. Zwolennicy „utopisty" wiąźali się w stowarzyszenia, starając się wcielić w życie wygłoszone idee i przykładem swym pociągając innych do naśladownictwa. Doskonałość nowopomyślanego ustroju miała się wykazać w praktyce i przekonać świat o potrzebie zreformowania całego życia społecznego w ten mianowicie sposób. Usiłowania zwolenników: Owena, St.-Simona, Fouriera i Cabeta, i ich niepowodzenie znanem jest ogólnie. Przeobrażenie społeczeństwa/metoda, że tak powiemy,

poglądową, za pomocą modeli ustrojów nowych okazało się zupełnie niemożliwym. Zmienił się też radykalnie pogląd na istotę społeczeństwa, zasada ewolucji sprawę przeobrażeń społecznych przedstawiła w innym zupełnie świetle. Reformatorowie też dzisiejsi postępują w inny sposób, niż ich poprzednicy. Poddając krytyce ustrój dzisiejszy, wykazują oni jego nieodpowiedniość do potrzeb i wymagań społeczeństwa, wskazują zasady, które ledz winny jako podstawa ustroju nowego i wykazują ich zgodność z wymaganiami, rodzącymi się pod wpływem ewolucji. Zakładanie wzorów do naśladowania zarzucono w zupełności, urzeczywistnienia swych ideałów oczekują reformatorzy na drodze reform częściowych, oddziaływających na całe społeczeństwo.

Nie znaczy to, naturalnie, żeby ustały usiłowania przedstawienia bliższej lub dalszej przyszłości społeczeństw ucywilizowanych. Jeżeli astronomowie kreslą dzieje przyszłe naszego systemu słonecznego i w możliwości przewidywania bardzo odległych nawet wypadków upatrują tryumfy swojej nauki, to socyjolodzy ze swej strony usiłują zrobić toż samo w swojej dziedzinie pomimo daleko większych trudności. To przewidywanie przyszłości, przedstawiające już z natury rzeczy wiele uroku, ma w warunkach obecnych większe jeszcze znaczenie. Braki ustroju obecnego dolegają coraz mocniej wobec wzrastającej wrażliwości, reformy zaś, jakkolwiek osiągnane z ogromnym nieraz wysiłkiem, usuwają tak nieliczną cząstkę tych braków, że ujrzenie okiem ducha przyszłości, na którą złożą się wielkie ofiary i drobne zdobycze, staje się potrzebą serca. Sierani i znękani synowie ostatniej ćwierci XIX wieku mają prawo do spojżenia w tę przyszłość, jak Mojżesz miał prawo przed śmiercią rzucenia okiem na ziemię obiecaną, do której prowadził lud swój, a której oglądać nie było mu sądzonem.

Takiem usiłowaniem opisanego przyszłego ustroju społecznego jest między innymi dzieło Wawrzynca Gronlunda: *The cooperative Commonwealth in its Outlines*. Jest to traktat naukowy, który oceniony został pooblebnie przez krytykę, nie wywołał jednak zainteresowania szerszych kół społecznych. Dopiero gdy w parę lat potem idee Gronlunda przebrane zostały w żywą i z talentem wykonaną szatę powieści, dopiero wówczas nabrały one tej czarownej siły, która porusza masy. Zasady ustroju, jak je przedstawiali dwaj ci amerykańscy pisarze, w głównych swych rysach przedstawiają znane doktryny, przedstawiające teoretyczny wyraz rozległego ruchu społecznego. Cała produkcja Stanów Zjednoczonych w r. 2000-ym, według Bellamy'ego, scentralizowaną jest w rękę państwa, które jest jedynym właścicielem ziemi i środków produkcji. Cały naród zajęty jest pracą, która, dzięki zastosowaniu maszyn i silnie rozwiniętej kooperacji, jest tak produktywną, iż zapewnia szerokie zaspokojenie potrzeb, nie wymagając przeciążenia. Wysoki stopień dobrobytu pozwala wszystkim bez wyjątku członkom społeczeństwa dochodzić do wysokiego stopnia oświaty. Młodziź do 21 roku życia kształci się w szkołach publicznych i dopiero w tym wieku wstępuje w szeregi pracowników, w których pozostaje do 45 roku. Od chwili dojsia do tego wieku przyszli mieszkańcy Stanów zwolnieni będą od służby obowiązkowej, jako emeryci. Wszyscy pracownicy otrzymują jednakowe wynagrodzenie w postaci pewnej ilości dolarów (właściwie czeków, wyrażonych w dolarach) za które nabywać mogą, co im się żywnie podoba, z prawem dowolnego rozporządzania, a nawet przekazywania swej własności komu zechcą.

Doniosłe zmiany, które przetworzyły ustrój obecny na ustrój, opisany w *Looking backward*, odbyły się zupełnie spokojnie na początku wieku XX. Rozpowszechnione dzisiaj syndykaty i trusty skupiały coraz bardziej produkcję w ogromne całości, aż wreszcie wszystkie te skupienia zlały się w jedną całość, w jeden syndykat narodowy. Ustrój więc z roku 2000-go jest, zdaniem Bellamy'ego, naturalnym wynikiem rozwoju tych warunków ekonomicznych, jakie panują obecnie.

Też same zasady głosi także *Nationalist League*, stowarzyszenie, które powstało pod wpływem dzieła Bellamy'ego. W swoim wyznaniu wiary (*Declaration of Principles* w *Nationalist* maj 1889 r.),

¹⁾ Les beaux esprits se rencontrent! Pewien „humanitarny" filister angielski tak się wyraża o indyjanach Stanów Zjednoczonych: „Nie wierzę, aby z czerwono-skórego dało się co zrobić. Potrzebaby go najprzód *zrobić* (zbydlęconego!) *człowiekiem* (to humanize), później (zgodniałego!) *nakarmić*, potem (nagiego, obszarpanego!) *uobyczajnić*: wtedy dopiero może dałoby się z nim mówić o chrystyjanizmie. Czyby jednak wytrzymał tyle operacyj, mono o tem wątpię."

H. Burton: The City of Saints.

powiada ono: „zasada konkurencji jest tylko prostym zastosowaniem zwierzęcego prawa przeżywania silniejszych i przebieglejszych, dla tego też dopóki konkurencja będzie kierującym czynnikiem naszego systemu przemysłowego, nie może być osiągnięty wyższy rozwój jednostki i wyższe cele ludzkości nie mogą być urzeczywistnione. Dla tego też każdy, kto pragnie szczęścia ludzi, powinien się starać o usunięcie systemu, opierającego się na zwierzęcej zasadzie konkurencji i zastąpienie go przez instytucję o podstawie szlachetniejszej, tj. przez stowarzyszenie”. Wskazując dalej, że cel osiągnięty być może li tylko na drodze pokojowej, za pomocą przekonania, liga powołuje się na rozwój trustów i syndykatów, które, jej zdaniem, wykazują najlepiej praktyczność i możliwość propagowanej przez nią zasady stowarzyszenia się. „Chcemy tylko rozszerzyć tę zasadę w ten sposób, żeby produkcja prowadzona była w interesie całego narodu, nie zaś oddzielnych jednostek”.

Nie będziemy powtarzali dalszego ciągu owej „deklaracji zasad”, zwrócimy tylko uwagę na wysokie znaczenie, nadawane przez ligę „przekonywaniu” o słuszności swych zasad i przedziemy do rozpatrzenia się w szczegółach ustroju, odmalowanego przez Bellamy'ego, które mają dla nas znaczenie z tego już chociażby względu, że liga w zupełności je przyjmuje.

(d. n.)

Józef Książko.

ŚWIAT MARYJONETEK.

III.

„Lalka”, jeżeli już koniecznie trzeba przykleić do niej stempel klasyfikacyjny, jest szeroką, wspaniałą, pierwszą u nas satyrą społeczną, która pod względem głębokości pomysłu, bogactwa spostrzeżeń, siły uczucia tak wysoko przerasta wszystkie tego rodzaju utwory w naszym piśmiennictwie, że wydają się wobec niej marnymi, płaskimi bufonadami. Ale po za tym obrazem życia społecznego jest jeszcze powieść, jest cała historia człowieka, który dusił się w rodzimym zaduchu, zużywał siły „na walkę z otoczeniem, do którego niepasował”—i cała historia jego miłości, tego „motyla, którego jednym skrzydłem—niepewność a drugim oszukaństwo”. Ta miłość Wokulskiego stanowi treść właściwej powieści i treść jego życia, jego walki z otoczeniem, z tego więc chociażby względu należy poznać i zanalizować ją dokładnie.

Poznajemy Wokulskiego za pośrednictwem staro, Rzeckiego w sklepie Hopfera, gdzie około 1860 r. był subjektem, zawiązał w bibułę pieprz i rodzynki, podawał gościom piwo i kotlety. Młody subjekt nie doszedł jeszcze wówczas do przekonania, że w naszej „strefie nie dojrzewają ani pewnego gatunku rośliny, ani pewnego gatunku ludzkie”, rwał się więc do nauki, budował własnego pomysłu maszyny i pracował, ażeby kiedyś dostać się do uniwersytetu. Ale kiedy marzenia jego zaczynały się urzeczywistniać, kiedy porzucił sklep i wstąpił na kursa przygotowawcze do Szkoły Głównej, położył im nagle kres „jeden z najdziwniejszych wypadków”.

W gronie młodzieży, w którym przebywał Wokulski, wyróżniał się niejaki pan Leon „chłopak piękny, a mądry, a zapalczywy”. Budził on wiarę, budził ducha, wzywał do poświęcenia, biadał „co za lód w tych sercach, co za chłód, co za upodlenie”

O Spartol rób, nim pomnik twej wielkości,

Naddziadów grób meseński zburzy młot,

I na żer psom rozrzuci święte kości,

I przodków cień odegna od twych wrot.

Ty, ludu! nim wróg w piętach cię powlecze,

Ojców twych broń na progach domów złam

I w przepaść rzuc. Niech nie wie świat, że miecze

Były wśród was, a serca brakło wam!

wolał młody entuzjasta, który, zdaniem Rzeckiego, „umiał wszystkich przekonywać, jak Demostenes”.

Wokulski był jednym z tych, którzy zapragnęli dowieść, że serca im nie brakło...

Pewnego dnia zniknął z oczu Rzeckiemu, a po upływie dwóch lat napisał list z Irkucka z prośbą o przysłanie mu książek.

Wrócił do Warszawy po sześciu czy siedmiu

lat, z podziękowaniami od towarzystw naukowych petersburskich i z kilkuset rublami w kieszeni. Po wydaniu tego szczupłego funduszu począł szukać pracy i: „Wtedy trafiła się rzecz dziwna. Kupcy nie dali mu roboty, ponieważ był uczonym, a uczeni nie dali mu także, ponieważ był eks-subjektem”. O głodzie i chłodzie marniał z dniem każdym, ponuro szepcząc: „oszukano mnie”, kiedy mu mówiono, że dla takich, jak on, niema tu miejsca. Po roku borykania się z taką nędzą ożenił się z romansową i podstarzałą wdową po kupcu Minclu, która jeszcze przed wyjazdem jego z Warszawy miała doń słabosc „Wiem, mówił, że jestem świnią. Ale... jeszcze najmniejsza z tych, jakie tu u was cieszą się powszechnym szacunkiem”.

W sklepie żony był pracowitym subjektem, w domu—sumiennie spełniającym swe obowiązki małżonkiem. Lew stopniowo przerabiał się na wołu. W trzecim roku pożycia zaczął nosić turecki szlafrok, wyszywane paciorkami pantofle i czapeczkę z kutasem, gdy umarła nagle żona, zapisując mu cały swój majątek. Pewnego dnia z namowy przyjaciela poszedł do teatru i na drugi dzień nie można go było poznać—w starcu ocknął się dawny Stach Wokulski: śmiały, bystry, energiczny.

Co było przyczyną tej cudownej przemiany? Zobaczył w teatrze pannę Izabellę Łęcką i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Zbliżyć się do niej nie mógł, bo panna pochodziła ze sfery arystokratycznej. Wtedy—było to w czasie wojny tureckiej—zabrał, co miał, pieniędzy, pojechał do Bułgarii, rzucił się na dostawę dla wojska i, obracając swoim i swego przyjaciela z Moskwy, Suzina kapitałem, zarobił w ciągu roku kilkaset tysięcy rubli. Po powrocie do Warszawy urządził wspaniały sklep, rzucił pieniądze, zakładał przedsiębiorstwa, zawiązał stosunki z arystokracją—a wszystko to robił w celu zbliżenia się do panny Izabelli.

Pod wpływem miłości w Wokulskim budzi się energija, która łamie niezwalczone przeszkody, przynajmniej takie, jakich poprzednio zwalczyć nie mógł. Zdobywa on wybitne stanowisko, olbrzymi majątek, staje się niemal potęgą w mieście i kraju. Miłość pochłania go zupełnie, całymi tygodniami znajduje się to w stanie ekstazy, to w stanie bolesnego oszołomienia lub nerwowego odrętwienia. Takie wyłączenie, takie skoncentrowane uczucie w człowieku, który do lat czterdziestu kilku pracował i gryzł biedę, a od młodu nabijał sobie głowę, jak mówi Szuman, Aldonami, Grażynami i innymi bohaterkami poematów—jest możliwym. Wprawdzie rówieśnik Wokulskiego, furman Wysocki powiada, że „już niema ciekawości do kobiet”, ale Wysocki przez całe życie pracował lub odpoczywał o głodzie, a Wokulski, inaczej wychowany, poezją wykarminiony, kiedy nie miał pracy, rozpałał sobie wyobraźnię, zresztą inaczej jadł i pił, żył inaczej.

Taka potężna, taka, powiem, anormalna miłość, która doprowadza do szału, rozstraja, zabija człowieka, może zachwycać romansowe kobiety, ale w gruncie rzeczy jest objawem niezdrowym, oznaką lubieżnego rozpasania, chociażby maskowała się zachwyta mi idealnymi. „Już to wogóle ze szlachtą jest tak, powiada Rzecki, że do butelki, do wojaczki do sprośności zawsze gotów, chociażby nawet trumna zalatywał. Paskudniki!”

Ma rację stary. Paskudniki—i kiedy mówią, że miłość „jest świętą tajemnicą” i kiedy sztydzą, że, według statystyki, „każdy biały anioł jest w dziesiątej części prostytutką”.

Taka miłość, jaką czuje Wokulski, urodziła się „nie między szwecami i kowalami, a nawet między doktorami i adwokatami. Wypielegnowały ją klasy majątne, które utworzyły kobietę z delikatną cerą i białą ręką, które wydały mężczynę, mającego dosć czasu na ubóstwianie kobiety”.

Taka miłość jest istotnie paskudztwem, bo, jak mówi Szuman, „albo mężczyzna, jak kogut uwija się między kilkunastoma kurami, albo kobieta, jak wilczyca w lutym, wabi za sobą całą zgraję ogłupiałych wilków czy psów. I nie ma nic bardziej upadającego, jak ściganie się w takiej gromadzie, jak zależność od wilczycy”.

Tego rodzaju zgryźliwych, sceptycznych paradoksów o miłości i kobiecie pełno w całej powieści. Wygłasza ją najczęściej Szuman, czasem Ochocki, czasem Rzecki, a nawet Wokul-

ski i to nie tylko po doznanej zawodzie, ale i wtedy, kiedy w stanie ekstazy miłosnej nachodził na „lucida intervalla”.

W paradoksach tych, jak również w rozmowach Wokulskiego z panią Wąsowską, w wybornie podpatrzonych, subtelnych szczegółach charakterystyki postaci kobiecych—wiele prawdy, ale w każdym razie nie cała to prawda.

Miłość zbydlęca, miłość ogłupia i w rezultacie doprowadza do tego, że człowiek inteligentny, co „plunął na własną boleść i cudzą nikczemność” przyjmuje sceptycyzm Szumana, który twierdzi, że do „rozsądnego szczęścia potrzeba co dzień jadać inne potrawy i brać czystą bieliznę, a co kwartał zmieniać miejsce pobytu i kochanki” i radzi Wokulskiemu, żeby „umizgał się do wielkich dam, bo one mają ciekawość do demokracji” i są „daleko smaczniejsze od pokojówek, gdyż kobiecość ogromnie zyskuje na szyku i inteligencji”. Zresztą, dla Szumana cały rodzaj ludzki był skazany na wiekuiste bydlęctwo, „wśród którego odznaczają się tylko żydzy, jak szczupaki między karasiami”.

W kim zaś cynizm wstręt budzi, a kto jest za młody, żeby przyjął filozofię Rzeckiego i za zbyt wiele wymagający, żeby zadowolnić się szczęściem mieszczańskim z jakąś tam uczciwą gąską Stawską, temu pozostaje tylko do wyboru burszowski pogląd Ochockiego na miłość i kobiety. Temu znowu lepiej się podobają pokojówki, niż wielkie damy, bo mniej robią ceremonij, wie on, że „człowiek musi w jakiś sposób zużywać siły, jeżeli nie pracuje, musi więc wpaść w rozpustę, a przynajmniej drażnić nerwy. I do rozpusty zaś i do drażnienia nerwów potrzebne są kobiety piękne, eleganckie, dowcipne, świetnie wychowane, a raczej wytreśowane w tym kierunku”. Ale on, chociaż od czasu do czasu odzywa się w nim „paskudnik” szlachecki, zajęty pracą naukową, nie czuje pociągu do wyrafinowanej rozpusty. Oprócz tego rozumie jeszcze to, nad czem pomimo swej szerokiej inteligencji nigdy jakoś nie zastanawia się Wokulski:

„Wyobrażam sobie, mówi, jakbyś pan wyglądał, zmieniając co kwartał kochanki, gdyby kiedy stanęli przed panem ci wszyscy ludzie, którzy dziś pracują na pańskie dochody i zapytali: Czem się wywdzięczasz nam za nasze trudy, nędzę i krótsze życie, którego część tobie oddajemy? Czy pracą, czy radą, czy przykładem?”

„Jacyż dziś ludzie pracują na moje dochody”? naiwnie pyta Wokulski. Wycofałem się z interesów i zamieniam majątek na papiery”... —„Jeżeli na listy zastawne ziemskie, to przecież kupony od nich płacą parobcy, a jeżeli na jakieś akcje, to znowu ich dywidendy pokrywają robotnicy kolejowi, cukrowniani, tkaccy, czy ja wiem zresztą jacy?”

Z pogardą uczonego uważa on „damy za bardzo pożyteczne, ale tylko do rodzenia dzieci”, z pogardą młodzieńca uważa cierpienia egotyczne za „niemęzką dolegliwość”, śmiejąc się, że może „kobiety doświadczają czegoś podobnego przy porodach”. Miłość zaś traktuje wesoło i pobłażliwie.

„Więc cóż z tego, że się młoda panna zakocha”, woła, „Czy lepiej, ażeby i nie kochała się i była głupia?... Pani jest dzika kobieta, panno Felicyjo”.

Sceptycyzm i pogarda zupełnie uzasadnione, ale czy usprawiedliwione? „Miłe są te kobiety, przy których człowiek, kiedy im w najlepszej wierze oddaje własną duszę, jeszcze musi spoglądać na zegarek, ażeby nie spotkał swoich poprzedników i nie przeszkadzał następcom”, woła Wokulski, a na to odpowiada mu pani Wąsowska: „Wszyscy jesteście podli, wszyscy jesteście nędznicy. Kiedy kobieta w pewnej porze życia marzy o idealnej miłości, wysmiewacie jej złudzenia i domagacie się kokieterii, bez której panna jest dla was nudna a mężatka głupia”... „Któż ją obdarł ze złudzeń, jeżeli nie pańscy rodzeni bracia. I cóż to za świat, który najprzód obdziera z ideałów, a potem skazuje obdartego? Kto ją wyhodował, tę kobietę z delikatną cerą i białą ręką, te odaliskę do drażnienia sobie nerwów i rozpusty, kto ją poniżył, znieprawił, splugawił. Kto z niej zrobił istotę „gorszą niż muchę, bo pozbawioną łap i skrzydeł”, próżnującego dziwoląga, ze „skrzywionymi stopami, ściśniętym tułowiem, czczym mózgiem”.

I wątpię, czy pomoże tu higiena, jaką zaleca dr. Szuman, higiena miłości, którą „gwałcą” klasy inteligentne, co stanowi jedną z przyczyn ich upadku”. „Higiena woła, jedz, kiedy masz apetyt! a wbrew niej tysiąc przepisów chwyta cię za poły i wrzeszczy: niewolno, będziesz jadł, kiedy my cię upoważnimy, kiedy spełnisz tyle a tyle warunków, postawionych przez moralność, tradycję, modę”. Higiena zaleca wolny wybór, bo „w całej naturze samiec należy do tej samicy, która mu się podoba i której on się podoba”.

Zapewne, ale higiena miłości zaleca również wstrzemięźliwość, o której Szuman nie wspomina, przeciwnie, radzi co kwartał zmieniać kochanki. Należy on do tych pobłażliwych higienistów, którzy i alkohol i tytoń tolerują, byle truciźn tych nie nadużywać. No, i rozpustę — byle w miarę. Ba, taki „bestya cynik” parsknął by śmiechem, gdyby kto zalecał młodym ludziom nie tylko wstrzemięźliwość, ale czystość płciową, jak to np. propaguje Lew Tołstoj. Mężczyzna niewinny! czy może być coś bardziej śmiesznego dla warszawskiego kpiarza. A ten właśnie mężczyzna, zbydlęcony od młodości, prawie od dzieciństwa, wyniszczony haniebnymi namiętnościami lub skalany rozpustą, w pewnej chwili swego życia staje, jako prokurator, przed kobietą i oskarża ją i uroczyście wyklina, za to, że „stworzona jest na obraz i podobieństwo adamo wych synów”.

Higiena miłości nie dla tego istnieje wśród ludu, że tam jest większa łatwość wolnego wyboru, ale dla tego raczej, że ludzie ci, o ile ich nie znieprawiała nasza rozpustna kultura, są i muszą być wstrzemięźliwi w miłości. Taki Wysocki, który naharuje się od rana do nocy i zaspokoi głód lichą strawą, nie ma już w czterdziestym roku „ciekawości do kobiet”. Ale taki Wokulski, który przez znaczną część życia odżywał się dobrze, który zjadał może po dwa funty mięsa dziennie z ostrymi przyprawami, zapijając to winem i, w chwilach, wolnych od pracy, bawił się poetycznymi marzeniami o kobietach, taki musiał czuć głód miłości. Gdyby kochał się przez całe życie, co tydzień w innej, jak mu to radzi Szuman, miałby swobodną myśl i byłby szczęśliwy. Tak przecież robią inni — no i tresują kobiety, które albo „sprzedają się starcom, albo traktują ludzkie serca, jak poledwice”.

Higieną miłości dla ludzi, którzy fizycznie nie pracują, którzy dobrze jedzą i mają wielki zasób sił nieużytych — może być tylko unormowanie rozpusty. Jeżeli francuz, dla tego że Paryż ma o 2,000 więcej rocznie stopni ciepła, aniżeli Warszawa, posiada, w porównaniu z mieszkańcem północy, więcej wolnych sił i czasu, to człowiek, który zjada z 500 funtów ryb i mięsa rocznie, rozpala się ostrymi przyprawami, podnieca kawą i winem, w porównaniu z jakimś tam Wysockim, odżywiającym się lichą, kapuśką, kartoflami a od święta mięsem, zgromadzi „kapitały uczuć”, które musi strwonić albo w rozpucie cynicznej, jaką doradza Szuman albo w rozpucie idealnej, w jakiej marnieje Wokulski. Innego wyjścia tu nie ma.

Ale człowiek taki ani w lirycznym uniesieniu, ani w cynicznym sarkazmie nie ma prawa uragać kobiecie, którą sam dla siebie wytresował i upodlił i powinien zrozumieć, co nawet prosty Węgielek rozumie, że to, na co się tak oburza, że wynaturzenie kobiet to „nie żadne łajdactwo — tylko nieszczęście”.

J. L. Popławski.

BEZ OBLUDY.

Wścigi konne i ludzkie. — Zabiegi nauczycielek. — Sprawy finansowe.

Rok obecny zastał mię, tak jak i dawniejsze, nieprzygotowanym do odróżniania przezwisk dżokejów od imion naszych znanych i cenionych koni, a czasem nawet od nazwisk tych z pomiędzy przedstawicieli narodu, którzy, nie bawiąc się w mrzonki samodzielnego pozyskania sławy, zdobyli jej powierzyli kopytom końskim. Pana Dobrogosta np. przez lat parę miałem za konia, o Spoonerze — dotąd nie wiem, czy jest dżokejem, czy też wierzchowcem; co gorsza, nawet totali-

zatora przez jakiś czas zaliczałem do istot jednokopytowych, dziwiąc się tylko, że zawsze wygrywa... Rok przeto obecny nie zastał mię przygotowanym; kiedy słyszę, że się ubiegają o nagrodę czterolatki, przychodzi mi na myśl: że też to takie młode bydło może sprowadzić tylu starych ludzi; kiedy przed oczami przesuwa mi się (w *Kuryjerze*) Lulasy, Beaconsfieldy, Duki, Minny i Ofelje nie wiem, czy ze stajni, czy z *high-lifem*, czy też z aktorkami... mam właśnie przyjemność.

Wiem tylko, że gdziekolwiek się zwrócę, my ciągle: „ruszamy!”, wiecznie gotowi jesteśmy do popisu, jak nie głową to nogami, jak nie nogami to bicepsami (w ostatnich numerach gazet ukazały się trycepsy), jak nie bicepsami, to kopytami.

Szczęśliwie konie! Wścigi ich trwają tylko dni dziesięć. Gdy który z nich dobrze złoży egzamin, zyskuje sobie szacunek naszej arystokracji, kilka pochwał gazetarskich i sympatyczne spojrzenia osób, grających na totalizatorze (w totalizatorze?).

Inaczej dzieje się z wścigami dziesięcio-, dwunasto-, trzynasto-latków i *latek*, którym nasze prywatne zakłady wiedzodajne każą prześcigać się w recytowaniu niezrozumianych frazesów, w wysuszaniu młodego mózgu, w krzywieniu kręgosłupa i w ogóle we wszelkim kalectwie fizycznym, moralnym i umysłowym. Areną takich ćwiczeń są egzamina i związane z nimi nagrywanie się ze wszelkich zasad pedagogii. Podczas kiedy w zakładach rządowych uczenie klas niższych obowiązuje się przebywać obecnie w szkole krócej, niż zwykle, tutaj, na pensjach prywatnych, wraz z nastąpieniem upałów dopiero rozpoczyna się orgija oglupiania i pracy: mnożą się dodatkowe godziny zajęć, „profesorowie”, niezadowoleni całorocznym zęcianiem się nad dziećmi, dobierają sobie po parę wykładów na tydzień dla „zaokrąglenia” kursu: historycy, włączając ostatnie „wiązki faktów”, zatykają szelnie wszelką szparę, przez jaką mogłoby przecisnąć się rozumienie zjawisk dziejowych; językoznawcy, zakuwają w kajdany gramatyczne wszelką nieposkromioną jeszcze resztkę przyrodzonego daru wymowy; przyrodniczy ostatnimi wzorami i nazwami chloroformują wszelkie niestłumione, pomimo „kursu”, poczucie przyrody żywej, labusie zaś i dobrodziejce traktatami usiłują dobić wszelkie objawy współczucia i miłości bliźniego, nie mające prawowitego stempla.

Przypuszczam, iż szlachetna mimika patryjotyczna nie omieszka wykonać tutaj żalostnej pantominy, mającej na celu obronę praw dalszego zęciania się nad umysłem i ciałem powierzonych sobie „dziewczątek”. Ale patryjotyzm tego gatunku za drogą nas kosztuje: pod jego osłoną wszystkie nasze sympatyczne instytucje zaprowadziły u siebie sztuczną hodowlę: oszustów, złodziei, łapowników, a w najlepszym razie pieczętniarzy, synekurzystów i niedoświadczonych. Kiedy sympatyczny Bank Polski wysłał do Ameryki paru aferyzystów, kiedy sympatyczne muzeum pszczelnicze okazało się gniazdem systematycznego rabunku, kiedy sympatyczne towarzystwo kredytowe pokazało rogi prywaty i „niewłaściwości” prawnych, kiedy w taniej kuchni rozgościły się, co najmniej, niedołność i marnotrawstwo — zwykle mrugano, kiwano, machano i chrząkano patryjotycznie, że mówić o tych sprawach nie wypada. Raz na zawsze jednak powinniśmy zrozumieć, że krytykowanie tego, co krytykować wolno, nie wyklucza chęci krytykowania tego, czego nie wolno krytykować, oraz, że zupełna bezkrytyczność aż nadto zawiodła pokładane w niej nadzieje, abyśmy dotąd mieli zwracać uwagę na pantominę szarlatanów patryjotyzmu. Sprawa przeciążenia szkolnego, zwłaszcza na pensjach żeńskich, sprawa systematycznego głuszenia fizycznych i duchowych sił naszych pokoleń młodych jest tak ważną, a w pobudkach swych tak bardzo od wszelkich uczuć podnioslejszych odległą, tak daleko jest prostym tylko wścigiem przekupek, sprzedających naukę, zdrowie i życie dziewcząt, że, zanim będziemy mogli przytoczyć tu bardziej szczegółowy i na dowodach oparty akt oskarżenia, nie wahałem się wypowiedzieć tych słów paru w chwili, kiedy właśnie oprawcy za pomocą godzin dodatkowych i zaokrąglenia kursów dobijają to, czego nie zdążyli jeszcze zabić w ciągu roku.

Jedną z naszych „sympatycznych” instytucyj,

w której po śmierci błagają się pewno potępione dusze właścicieli pensyj żeńskich, a mianowicie: *schronienie dla guwernantek*, jest teraz oblegana przez tłumy, czyhających na jej stęchłą i zaśniedziałą nauczycielek prywatnych. Zakład ten, będący żywym uzmysłowaniem skrepowanej klerykałnym paskiem filantropii, daje przytułek kilkunastu emerytkom zawodu nauczycielskiego. Organizacja przedpopowa, klauzula gorsza, niż w „dobrze postawionych” klasztorach arystokratycznych, dozor nad byłymi przewodniczkami młodzieży tak ścisły, jakie go nigdy nie miały one same nad powierzonym sobie dzieckiem, wszystko to czyni ze schronienia norę nędzną, do której zatęsknić może tylko albo „zasłużona pracownica”, uciekająca przed śmiercią głodową, albo biedne popychadło, któremu odebrano nietylko zdolność ale i odwagę myślenia i czucia. Nauczycielki tutejsze — żyjące jeszcze i myślące, postanowiły wejść w porozumienie z instytucją, a to w ten sposób, aby za sumę pewnej opłaty stałej mogły zdobyć w przyszłości kąć spokojny. Wymagają one jednak niejakich zmian w ustawie, nade wszystko zaś pragnęłyby większej niezależności i swobody w przytułku, w którym miejsce zdobędą sobie własną pracą. Pisma codzienne nie omieszkały już donieść, że sympatyczna, a dystyngowana opiekunka zakładu, „krząta się” koło rozszerzenia jego regulaminu, oraz zakresu działania. Krzątanina polega właściwie na zwalczaniu słusznych żądań nowych aspirantek, ale od czegoś straciłmy wiarę we własne siły, od czegoś przywykliśmy się trzymać jakiejś arystokratycznej spódnicy, albo poły, jak nie od tego, aby pochlebiać i kadzić naszym znanym nawet wtedy, gdy stoją na zawadzie przeprowadzeniu jakiejś reformy pożądaney? Sądziłbym, iż, jeżeli tylko jest jakakolwiek możność wyzyskania odnośnych przepisów prawa — o normalnych kasach oszczędności lub o kasach emerytalnych — nauczycielki nasze powinny byłyby zwrócić swe usiłowania w kierunku innym. Tylko w najgorszym razie należałoby łączyć się ze spleśniałą rutyną, której odświeżenie przekracza dobre chęci i siły młodych pracowni.

Maryjan Bolusz.

GŁOSY.

— Z prasy.

— W ostatnim zeszycie *Ateneum* znajdujemy artykuł p. K. poświęcony „Semityzmowi i Antysemityzmowi”, Autor postanowił sprawę traktować „najbezsronniej” i dla tego może artykuł jego odznacza się przedewszystkiem bezbarwnością. Komunały w rodzaju, że wszędzie są źli i dobrzy, lub też że pośrednictwo w wymianie dóbr ekonomicznych jest również pracą produkcyjną stanowią główną treść artykułu. Ponieważ jednak dotąd poważne niby pisma usiłują wmówić, że cała kwestya żydowska jest wymysłem ludzi złej woli, więc i to już za zasługę poczytywać należy, iż p. K. z góry zaznacza, że:

„Jeżeli jaką sprawą ludzie się zajmują więcej niż inni, możnaby to uważać za dowód, że nie jest ona rozstrzygniętą i załatwioną... Gdy się zaś dowiadujemy, że nie w jednym kraju, lecz w wielu budzi ona namiętne dyskusje, tymbardziej przekonywamy się, że sprawa taka jest żywotną”.

Słusznie też utrzymuje, że poruszać kwestyję warto, chociażby się nie miało żadnego sposobu rozwiązania, bo „spokojna dyskusja” może wyświecić punkty sporne. Autor rysuje przyszłość w czarnych kolorach. Żydzi wywłaszczą większych i mniejszych właścicieli i zamieniają ich w swoich parobków, Chrześcijanie jednak nie powinni zalecać wysiedlania żydów, bo byłoby to barbarzyństwem, ani nawet uciekać się do ograniczeń, jako obrażających poczucie sprawiedliwości, natomiast powinni pracować, oszczędzać, „zaprzestać karcjarstwa, później włóczęgi za granicę i wielu a wielu wad naszego plemiennego charakteru”. W ogóle, zdaniem autora, należy się pogodzić z faktem istnienia żydów, zajmujących się niemal wyłącznie „pośrednictwem” wszelkiego rodzaju i raz sobie powiedzieć, że takimi, jakimi są, pozostaną na zawsze. O wzięciu się żydów do pracy na roli, nie może być mowy,

prasa ta bowiem jest „jedną z najcięższych i najmniej przynoszącą profitu”.

„Żydzi to dawno zrozumieli (mówi dalej autor) i dla tego nie okazywali nigdy ochoty do uprawy ziemi... Żyd nawet rzemieślnik rzadko tylko rzemiosłem się trudni: on musi handlować, pośredniczyć, od obu stron zarabiać, bo to leży w jego naturze, bo tak się wiekami wyrobił... Niech tam *goimny* grzebią w ziemi, ty Izraelu handluj wszystkim, choćby starzyzną, choćby szczecina, ale szczególnie pieniędzmi... Żydzi wolą pracować „w cukrze, w pożyczkach rządowych, w grze giełdowej”, aby zdobyć kapitał. Ten cudotwórca zaprzęgnie innych do roboty i na roli i w fabryce i w warsztacie”.

A oto jak zapatruje się autor na asymilację. „Jest to — powiada on — mrzonka, jak wiele innych na świecie. Jednostki mogą się asymilować, ale żeby milijon ludności zwartej w sobie i wiekami wyodrębnionej mógł się roztopić w szczęściu, dajmy na to, milionach innej ludności, tego chyba nikt seryjo myślący nie uważa za prawdopodobne... gdy plemiona różnorasowe, z innymi tradycjami okoliczności historyczne na jeden grunt sprowadzą, wówczas i wieków nie starczy do wytworzenia asymilacji wewnętrznej”.

Pod tym względem podzielamy zupełnie zapatrywanie autora, nie możemy jednak z równą rezygnacją powierzyć rozwiązania kwestyi czasowi, co dokona tego „drogami, których przewidzieć niepodobna” i doradzać tymczasem chrześcijanom i żydom sielankowego „wskazywania obustronnych wad” i tym podobnych srodeczków. W stosunkach „parobków” i „panów” niema miejsca na sielanki.

— **Nieustająca adoracja.** Gdzie to się działo — naturalnie na kolei nadwiślańskiej, kiedy — w ostatnich czasach.

Dyrektor tego przedsiębiorstwa, po 12 latach figurowania, opuścił swoje stanowisko na żądanie władzy wyższej.

W ciągu swego urzędowania, dyrektor brał grubą pensję i żył sobie bez troski a jakkolwiek nie był to „zły człowiek”, nie wiele jednak dbał o swoich podwładnych i kłopoty o nich złał na naczelników, przewodniczących wydziałom, których postępowanie względem urzędników i oficyalistów pochwalał zawsze bezwarunkowo.

Podwładni, będąc na łasce i niełasce naczelników i nie mając otwartej drogi apelacji, nie raz doznali ciężkiej krzywdy, lecz trudno — odwoływać się do dyrektora nie mogli, gdyż dygnitarz ten lubił spokój i nie chciał sobie zaprzętać głowy takimi interesami.

Naczelnikom więc przy takim systemie dobrze się działo i robili wszystko, jak sami chcieli.

Z biegiem czasu i na kolej nadwiślańską przyszyły ciężkie chwile.

Zjechał do zarządu akcyjonaryjusz p. Halpert i chcąc z przedsiębiorstwa wycisnąć jaknajwiększe dochody i zmniejszy do minimum wydatki, zaczął gospodarować po swojemu. Robiąc oszczędności w sposób gwałtowny, krzywdził pracowników, zmniejszając im pensje i kasując posady, ażeby zaś nie przeszkadzano mu w tych nadużyciach, pozbawił, nie mając na to prawa, władzy dyrektora.

Ten zaś, dla świętego spokoju, nie chcąc narażać się potentatowi, pozwolił sobie odebrać ster przedsiębiorstwa i patrzył obojętnym okiem na krzywdę, wyrządzaną pracownikom i ich rodzinom.

Niehamowany niczem akcyjonaryjusz, wycisnąwszy już soki żywotne z przedsiębiorstwa, zrobił zamach na instytucję samopomocy, założoną przez pracowników, która tak była zorganizowana, że zabezpieczała im utrzymanie na stare lata.

Akcyjonaryjusz zamknął ową instytucję a to ze względu na jeden artykuł statutu, który opiewał o pewnych dopłatach ze strony towarzystwa na rzecz instytucji samopomocy, w razie gdyby interesy tej ostatniej były zagrożone.

Jakkolwiek więc stan funduszu owej instytucji był dobry, p. Halpert zamknął ją, aby przedsiębiorstwo nie było zmuszone w przyszłości ponosić żadnych ofiar na rzecz swoich pracowników, którzy w usługach jego tracili nieraz życie i zdrowie.

Dyrektor, chociaż mógł założyć protest przeciwko nadużyciom wyzyskiwacza, pozostał bezczynnym i stojąc ciągle na uboczu, brał grubą pensję, żył wygodnie i bawił się dobrze, pa-

trząc obojętnie na krzywdę tysięcy ludzi, których on, jako dyrektor, z urzędu winien był obrońcą i opiekunem. Wreszcie władza wyższa widząc, że dyrektor nie spełnia swoich obowiązków i że jest manekinem akcyjonaryjusza, usunęła go z zajmowanego stanowiska.

Nad dymisją figuranta, naczelnicy ronili lzy rzewne — wszak tak im dobrze było przy owym dyrektorze — podwładni zaś uważali ten wypadek jako sprawiedliwe zrzucenie losu i mieli nadzieję, że nowy dyrektor nie pozwoli na dalsze krzywdy, wyrządzane im przez akcyjonaryjusza-wyzyskiwacza.

Wkrótce potem naczelnicy powzięli myśl ofiarowania b. dyrektorowi upominku wartościowego i do składki w tym celu powołali wszystkich swoich podwładnych.

Ponieważ podwładni nic dobrego nie zawdzięczali dyrektorowi, lecz, przeciwnie, wskutek jego safandulstwa ponieśli ciężką krzywdę i straty, przeto o składkach dobrowolnych na jakiś prezent ani słuchać nawet nie chcieli.

Naczelnicy jednak, uradziwszy, aby zakupić kosztowny serwis srebrny a nie chąc sami ponosić tak znaczny wydatek, zrobili nacisk na swoich podwładnych i zmusili ich prawie do niemiłych składek.

W ten sposób zebrano około 800 rs. i zakupiono wspaniały srebrny serwis do herbaty a następnie kazano wybić na nim „herb” b. dyrektora a to dla tego, aby serwis ten mógł być nawet użyty na wyprawę dla córki upadłego dygnitarza, panny na wydaniu.

Nie mamy nie przeciw uczeniu upominkiem człowieka, który na wdzięczność zasługuje — tutaj jednak mowy o tem nie ma. Gdyby, zresztą, uczenie to miało jakiś ogólniejszy charakter, gdyby np. utworzono stypendyjum imienia dyrektora dla biednego ucznia, syna jednego z pracowników kolejowych, można by przebaczyć wymuszanie składek. Teraz zaś zniewalanie urzędników i oficyalistów do składek jest krzywdzącym nadużyciem władzy przez panów naczelników i publicznie winno być napiętnowane.

Ci.

— **Troskliwa opieka.** Sługi, których Warszawa liczy około 50,000 (!) na wypadek choroby lub kalectwa oddawane są do szpitali, koszta zaś ich kuracyi ponosi zazwyczaj miasto, ponieważ chlebobdawcy usuwają się od zapłaty, a służący nie mają środków. Otóż Rada miejska dobroczynności postanowiła wziąć sługi w opiekę i zwróciła się do wydziału kontroli sług z zapytaniem, czy nie udałoby się pociągnąć je do opłacania składki szpitalnej. Wydział kontroli opracował podobno projekt, podług którego każdy służący ma opłacać stałą składkę na wzór czeladników rzemieślniczych.

Taka troskliwa opieka byłaby całkiem na miejscu, gdyby zabiegi poczynione zostały na cokolwiek innej drodze. Dziwi nas przedewszystkiem łagodne zaznaczenie przez Radę dobroczynności publicznej faktu, że „chlebobdawcy usuwają się od wypłaty”.

Chlebobdawcy są najczęściej i „chorobotwórcami” sług, a choroby ostatnich zwykle wynikają z przeciążenia lub niehygienicznych warunków pracy. Wobec tego elementarna sprawiedliwość nakazuje pobierać składkę od gospodarzy. Składka taka nie byłaby wcale uciążliwą i raz na zawsze zaradziłaby dyskretnemu „usuwaniu” się i zrzucaaniu nowego ciężaru na barki i tak już dostatecznie objuczone. Nakoniec, Rada powinna pamiętać, że znaczna część dochodów szpitali płynie z milionowych zapisów poczynionych różnemi czasami.

Sądźmy, iż zapisodawcy mieli na myśli właśnie ludność ubogą. Któż więc będzie wreszcie z zapisów korzystał, jeśli najlicniejsza i często najbiedniejsza klasa wyrobników skazaną zostanie na dobroczynne skutki „samopomocy”?

Z OBCEGO ŚWIATA.

CII.

Prawo z r. 1848 wobec warunków dzisiejszych. — Kwestya nocnej pracy kobiet we Francji. — Bezpłatne dostarczanie przyborów szkolnych w Szwajcaryi.

Zwracaliśmy nieraz uwagę na dziwną, co najmniej, obojętność rządu i parlamentu francuzkie-

go dla kwestyj społecznych. W zaciętej walce o władzę, o kwestyjach tych, jakkolwiek umieszczone one były na pierwszym miejscu w programach i przemówieniach, zapominano niemal zupełnie. Każda, najdrobniejsza nawet reforma lata cała wędrowała od Anasza do Kaifasza, zanim nareszcie osiągała moc prawa. Od pewnego czasu jednak, wraz z powrotem Julijusza Simona z Berlina, gdzie go tak uprzejmie przyjęto, i wraz z pewnem uspokojeniem się walki stronnictw, daje się zauważyć, dość znaczna nawet zmiana. Dzienniki przynoszą nam niemal codziennie wiadomości o pracach komisji parlamentarnej, lub też o wielkich zamiarach małego Constansa. Ten ostatni zdaje się na prawdę zapragnął sławę energicznego poskramiacza niezadowolonych zamienić na sławę wielkiego reformatora społecznego. Wygotowuje on podobno rozmaite projekty, mające jakoby zapewnić robotnikom lepsze warunki pracy i spokojną starość. Co tam z tego wszystkiego wyniknie, zobaczymy w swoim czasie, obecnie zanotować musimy przedewszystkiem cyrkularz ministeryjalny, zalecający inspektorom fabrycznym surowe przestrzeganie prawa z r. 1848, które określa długość dnia roboczego dla dorosłych robotników fabrycznych na 12 godzin. Cykularz zwrócił na siebie uwagę, dziwnie bowiem odbija od niedawnego zachowania się rządu francuzkiego, który protestował energicznie przeciw rozprawom nawet o pracy dorosłych na konferencji berlińskiej. Z drugiej strony wygląda to dość nawet skandalicznie, że minister uważa za potrzebne przypomnienie prawa, wydanego przed 42 laty. Czyżby dotąd ta zdobycz drugiej rzezypospolitej figurowała tylko na papierze. Tak źle nie jest. O prawo z r. 1848 kolejno zmieniające się rządy nie wiele się troszczyły, to prawda, ale praktyka życiowa ustanowiła już w większych miastach francuzkich, krótszy nawet, bo 10-godzinny dzień roboczy. Przemysłowcy francuzcy zdaje się nawet obecnie żałują, że nie dopuścili kwestyi pracy dorosłych pod obrady konferencji. Szumnie obwieszczona zastraszyła ona trwożliwe mieszczaństwo możliwością zbyt radykalnego rozwiązania kwestyi. Okazało się, że obawy były nieuzasadnione i że przemysłowcy francuzcy na czysto stracili. Gdyby podnieśli oni kwestyję 10-godzinnego dnia, nie tylko z pewną słusznością mogliby powtarzać frazesy o „misyi cywilizacyjnej republikańskiej Francji wobec monarchicznej Europy” i o „zaszczytnej roli”, ale mogliby skorzystać istotnie przez ograniczenie dnia roboczego w krajach współzawodniczących.

Ex re 10-godzinnego dnia zanotować musimy, że socyjal-demokraci niemieccy domagają się również tej właśnie normy. Dalsze ograniczenie godzin pracy odkładają oni na czas stosunkowo bardzo odległy. Według ich projektu bowiem dzień 9-godzinny zaprowadzonyby został tylko w r. 1894, a ośmiogodzinny dopiero w 1898. Jak widzimy, żądania niemieckich demokratów nie przekraczają tego, na co zgadzają się przemysłowcy francuzcy. Przedstawiciele kapitału nie lubią wprawdzie zasady interwencji państwowej, a już wprost wstrętnem jest dla nich przypuszczenie, że po jakich kilku latach może nastąpić nowe jakieś ograniczenie, lecz te uprzedzenia wobec nacisku faktów zniknąć muszą. Przedstawiciele kapitału, raz pogodziwszy się z niesympatyczną dla nich formą, postarają się z niej wyciągnąć wszelkie możliwe korzyści. Kto wie, czy za jakie osiem lat, ta zatrwająca dziś kwestyja międzynarodowego 8-godzinnego dnia roboczego nie stanie się hasłem sfer rządzących angielskich i francuzkich. Może się tu powtórzy historia zniesienia niewolnictwa. Anglija opierała się temu bardzo długo, gdy jednak rozwiązała tę kwestyję u siebie, bardzo gorliwie domagała się tego samego od wszystkich ¹⁾. Wielka sława i wzniosłe zadania wybornie godziły się tu z interesem. Zupełnie też samo powtórzyć się może z dniem 8-godzinnym. W jakkolwiekby sposób zaprowadzony on będzie w Anglii: czy drogą prawodawczą, czy bez wszelkiej interwencji państwa — jak to przypuszczają trades-uniony, w każdym razie w interesie przemysłowców

¹⁾ Nawiasem wspomnieć musimy, że przed kilku tygodniami ogłoszono fakty, dowodzące, iż angielskie towarzystwo wschodnio-afrykańskie dziś jeszcze korzysta z pracy niewolników.

angielskich będzie zrobienie z niego normy obowiązującej dla krajów współzawodniczących, jako też dla tych gałęzi drobnego przemysłu, które w walce z wielkim utrzymywaniem się mogą li tylko nadmiernym wysiłkiem pracy.

Jakkolwiek perspektywa taka wydawać się może nieprawdopodobną, jednakże mogliśmy wskazać masę przykładów, upoważniających nas do podobnych przypuszczeń. Nie tak dawno jeszcze organizacje robotnicze uważano powszechnie za rzecz nader dla mieszczańskiego spokoju groźne. Prawo stowarzyszenia się wywalczyli robotnicy po długich zapasach dopiero, tymczasem dzisiaj coraz bardziej rozpowszechnia się pogląd wprost przeciwny, widzący w organizacjach robotniczych najpewniejszy sposób spokojnego i umiarkowanego rozstrzygnięcia wszelkich kwestyj spornych. Charakterystycznymi pod tym względem są np. głosy burżuazyjno liberalnej prasy austriackiej. Przed miesiącem z okazji zaburzeń robotniczych w Morawii wyrażała ona ubolewanie, że dojście do porozumienia jest prawie niemożliwe wobec zupełnego braku wszelkiej organizacji robotniczej, która mogłaby sformułować żądania praktyczne. „Mamy tu do czynienia, pisały dzienniki, z ruchem żywiołowym, nie zdającym sobie sprawy, czego miarownie domagać się należy, niema tu wreszcie ludzi, z którymi układać by się można”. Z okazji znowu zaburzeń antysemickich w Wiedniu prasa wykazywała, że organizacje robotnicze, świadome swych celów, skłonne są zawsze do wybierania dróg legalnych i powstrzymują robotników od wszelkich ekscesów. Nie potrzebujemy zresztą rozwodzić się nad tem, wszak powszechną dążnością prawodawstwa obecnego jest usunięcie strejków za pomocą „izb pojednawczych”, złożonych z przedstawicieli przemysłowców i robotników.

Wróćmy jednak do Francji. Podjęto tam energicznie kwestyję opieki nad pracą kobiet. W zasadzie przynajmniej jest to kwestyja, na którą wszyscy (oprócz nielicznej grupy bojowniczek „usamowolnienia dam”) się zgadzają. W praktyce jednak rzecz się ma nieco inaczej i, jak wiadomo czytelnikom, niedawno jeszcze senat odrzucił prawo, zakazujące pracy nocnej kobiet. Zwolennicy tego prawa rozwinęli szeroką agitację. Zażądano między innymi zdania paryskiej akademii medycznej. Komisya złożona z takich powag, jak Brouardel, Proust, Richard i inni, przyszła do przekonania, że „praca nocna kobiet jest absolutnie szkodliwą dla zdrowia robotnic i ich dzieci, jako też dla moralnych i materialnych interesów rodziny”. Niedokrewność, utrata wzroku i inne choroby, oraz wielka śmiertelność wśród dzieci—oto skutki tej pracy. Komisya nie uznaje też za słuszne dowodzenia przemysłowców, iż praca nocna bywa niezbędną w czasach napływu obywateli. Pamiętać należy, że warsztaty, w których pracują kobiety, należą do najgorszych pod względem sanitarnym.

Napływ zamówień nie może być uważanym za dostateczne usprawiedliwienie, jeżeli praca nocna zostanie zniesiona, albo powiększona zostanie liczba pracowników, albo też zamówienia podzielone zostaną bardziej równomiernie i zarobek kobiet będzie regularniejszy, niż dotąd. Komisya akademii przypomina też prace dawniejsze komisji zdrowia publicznego. Ta ostatnia urządziła specjalną ankietę i zebrała zdania tej kwestyi inspektorów fabrycznych, izb handlowych, rad rzeczoznawców (prud'hommes) i t. d. Z 472 nadesłanych odpowiedzi, 321 przemawiało za zniesieniem pracy nocnej i zaledwie 151 za jej utrzymaniem. Te ostatnie pochodziły wyłącznie niemal od izb handlowych. Tym dziwić się nie można, są one przedstawicielkami interesów kapitału. Ale istotnie przykrem jest, gdy w jednym szeregu z obrońcami interesów przemysłowców występują zwolenniczki emancypacji, naiwnie sądzące, iż waleczą za dobrą sprawę. Wśród dowodów, przytaczanych na obronę swych poglądów, panie te wskazują na przykłady, wykazujące, iż zarobek kobiet może się zmniejszyć wskutek takiego ograniczenia. A zatem, wołają one, zarobek rodziny zmniejszy się też i będzie ona cierpieć głód, a niejedna kobieta niezamężna, zastąpiona w fabryce przez mogącego pracować i w nocy mężczyznę, skazana będzie wprost na zagładę. W rozumowaniu tem jest pewna doza słuszności. Niestety jednak,

nie dożyliśmy jeszcze do tej epoki w rozwoju społeczeństwa, gdzie zmiany odbywać się będą bez czasowych nawet strat jednostek. Dziś niema zmiany technicznej, niema reformy społecznej, która nie odbijałaby się na razie szkodliwie na interesach zupełnie uprawnionych. Wodociągi pozbawiają zarobku wozowodów, tramwaje czynią to samo z dorożkarzami, a koleje z furmanami. Prawo, ograniczające pracę dzieci, bezwzględnie na razie uszczupliło zarobki nie jednej rodziny, być może naraziło ją nawet na głód. Czyż znaczy to jednak, że wszystkie te zmiany i reformy nie były pożyteczne, że społeczeństwo nie miało słusznych powodów do ich zastosowania. Co się tyczy danej reformy, wiemy zresztą, że podobnie jak wszelkie ograniczenie pracy może być ona tylko korzystną dla klas pracujących, jeżeliby nawet spowodowała zastąpienie pewnej liczby kobiet przez niezajętych obecnie mężczyzn, to i w takim razie zarobek rodzin robotniczych zwiększyłby się tylko, byłby to więc zysk pośredni dla większości kobiet. Społeczeństwo zaś w każdym razie zyska na polepszeniu zdrowia matek pokoleń przyszłych i na mniejszej śmiertelności lepiej niż obecnie pielęgniowanych dzieci. Dzikie wprost wygląda stanowisko emancypantek w tej kwestyi, zwłaszcza obecnie, gdy na porządek dzienny występuje zniesienie pracy nocnej dla ogółu robotników. Demokraci niemieccy stawiają to żądanie, jako jeden paragraf wniesionego przez się projektu do prawa. Wielka produktywność pracy i ogromne zasoby społeczne Europy zachodniej umożliwiają w zupełności to żądanie i prawdopodobnie będzie też ono wkrótce urzeczywistnione.

Sądźmy zresztą, że panie z salonów, audytorjów uniwersyteckich, pracowni malarskich na porcelanie, redakcyj pism kobiecych i t. d., w sprawie tej ustąpić powinny głosu pracowniczkom fabryk i warsztatów, t. j. osobiście zainteresowanym. Zwolennicy odrzuconego przez senat prawa urządzili ankietę w tym właśnie kierunku. W Paryżu ogłoszono w warsztatach czterech okręgów, iż o godzinie oznaczonej przyjmowane będą wszelkie skargi robotnic i wszelkie ich podania. W czasie oznaczonym zebrało się w merostwie około 400 delegatek i wszystkie jednogłośnie domagały się zniesienia pracy nocnej. W opowiadaniach ich kwestyja występowała w całej swej grozie. Praca nocna najczęściej praktykowaną jest w zakładach, otrzymujących zamówienia w pewne tylko pory roku, t. j. w zakładach modniarskich, kwaciarskich i t. p., pracą nocną obciążają tu zwykle robotnice, które pracowały już dzień cały. Jeden z inspektorów fabrycznych miasta Paryża zaświadcza, że zna taki np. zakład hafciarski, w którym kobiety i dziewczęta przed Nowym Rokiem pracują po dwie doby bez żadnej przerwy. Robotnice oświadczyły, że jedyną nadzieję pokładają na państwie, same bowiem nie są w stanie wywalczyć polepszenia swego losu. Brak solidarności i ogromna konkurencya poszukujących pracy stoi na przeszkodzie wszelkim usiłowaniom.

Prawodawstwem fabrycznym w chwili obecnej zajmują się nie tylko Niemcy i Francya, z całej niemal Europy, bo z Węgier, Szwecyi, Danii, Hiszpanii i Włoch dochodzą nas wieści o pracach parlamentarnych z tej właśnie dziedziny. Postęp społeczny nie zamyka się jednak w tej tylko dziedzinie. Charakterystycznym dla naszej epoki jest przejmowanie przez organizacje zbiorowe obowiązków, spoczywających dotąd na oddzielnych jednostkach. Pisaliśmy w swoim czasie o zamiarze bezpłatnego udzielania uczniom szwajcarskim wszelkich przyborów szkolnych. Inicyjatorowie wykazywali, że z oświaty mas ciągnie bezpośrednio zyski samo społeczeństwo, słuszną więc jest rzeczą, żeby ono też ponosiło wszelkie wydatki. Bezpłatna nauka w szkołach nie jest rzeczywiście bezpłatną, dopóki rodzice kupować muszą dla swych dzieci potrzebne dla nauki książki, kajety i t. d. Obecnie w kantonach Vaud i Neuchatel, pomimo dość energicznej opozycji, projekty te zamieniły się w prawo. Władze kantonalne dostarczać będą gminom dla bezpłatnego rozdania uczniom książek, atlasów, kajetów, papieru, ołówków, atramentu i t. p., a nawet igieł, nici, nożyczek, napastrków i t. p. dla szkółek żeńskich. Oprócz korzyści sprawiedliwego podziału wydatków na szkoły, społeczeństwo wygrywa tu bezpośrednio na cenie tych przedmiotów. Według obliczeń, w kantonie Vaud

każdy uczeń wydatkował na ten cel około 8 fr. rocznie, władze zaś kantonalne, zakupując to wszystko hurtownie, wydatkować będą tylko 5 fr. na ucznia. Dla całego kantonu wyniesie to około 100,000 fr. oszczędności rocznie. Wydatki na ten cel pokrywane będą z przypadającej na rzecz kantonu części dochodu z federalnego monopolu na alkohol.

J. H. Siemieniecki.

Korespondencyja „Głosu”.

Dobrzyń.

Miasto nasze, położone w żyznej okolicy na prawym brzegu Wisły, liczy około 3½ tysięcy mieszkańców. Z chrześcian t. z. mieszczanie, trudnią się uprawą swoich pól, których obszar sięga 70 włók. Rolnictwo, pomimo żyznej gleby i wielkiego nakładu pracy, stosunkowo nie dobrze się opłaca. Jedną z ważniejszych przyczyn tego zjawiska jest niewatpliwie ta okoliczność, że grunta mieszczan dobrzyńskich nie są dotąd odseparowane. Pojedyncze pole, nieraz 2 łokcie zaledwie szerokie, ciągnie się 2—3 wiorst wzdłuż. Trzeba sobie przedstawić trudności, jakie spotyka gospodarz przy uprawie takiego pola, choćby ze względu na nietykalność sąsiednich pól, by zrozumieć, dla czego pola dobrzyńskie, zwłaszcza w krańcach bardziej odległych, nie są doprawione należycie i nie dają odpowiednich zbiorów. Separacyja gruntów jest tu potrzebą nagłą, przeprowadzenie zaś jej tem łatwiejsze, że pastwisk wspólnych prawie niema. Przed kilkunasty laty zdecydowano się już na uregulowanie tych stosunków gruntowych, znalazło się jednak paru bogatych mieszczan, którzy zamiar ten potrafiliby udaremnić. Zubożenie sąsiadów było im na rękę, skupowali bowiem działki pomniejsze. Niepowodzenia w rolnictwie trudno nie przypisać w pewnej części zamożności mieszczan dobrzyńskich do zarobków postronnych. Do takich zarobków należy tu „furmanienie”, przewożenie ciężarów od miasta do przystani i odwrotnie. W budżecie mieszczan dobrzyńskich stanowi ono pozycję poważną, choć coraz bardziej malejącą wskutek konkurencji z żydami; jednak dla tych postronnych zarobków, mieszczanie zaniedbują nieraz najbardziej naglące prace na roli, jak zwożenie zboża, na czem wiele traci rolnictwo miejscowe.

Żydzi, w Dobrzyńcu zamieszkali, trudnią się handlem, faktorstwem, w ogóle zajęciami, które bez wielkiego nakładu pracy dają niezłe zyski. Do niedawnego czasu mieliśmy tu sklepy wyłącznie żydowskie, sklepy brudne, cuchnące, z towarami w najlichszym gatunku. Założony niedawno przez młodego kupca polaka sklep spożywczy jest dla nas i okolicy prawdziwym dobrodziejstwem. Brak nam jeszcze przedewszystkiem swojego sklepu galanteryjnego i żelaznego; jest to rysem charakterystycznym naszych stosunków małomiasteczkowych, że rzemieślnik siedzi nieraz w sobotę z założonymi rękami dla braku jakiegoś drobiazgu, którego nabyć nie może, bo sklepy w całym mieście pozamykane.

Stosunki sanitarne w Dobrzyńcu przedstawiają się bardzo korzystnie. Chorób epidemicznych u nas nie pamiętają; sprzyja temu wyniosłe położenie miasta na wysokim wybrzeżu, wskutek czego posiada ono dla wód naturalne spady. Nie mniej dodatnio wpływa na zdrowość mieszkańców czystość, utrzymywana w mieście, i porządki, jakie w innych miasteczkach nie zawsze znaleźć można. Miasto posiada bardzo dobre bruki, pompy studienne, latarnie; niektóre ulice wysadzone są nawet drzewkami. Mówiąc nawiasem, nasz aptekarz za mało znów wierzy w to, by ktoś mógł u nas zachorować; nieraz trzeba kilka razy chodzić do apteki, zanim się zastanie p. aptekarza i lekarstwo nabędzie.

W opłakanym za to stanie znajduje się Dobrzyń w czasie deszczów jesiennych lub roztopów na wiosnę. Błota uniemożliwiają wtedy wszelką komunikację lądową, dróg bitych bowiem nawet do Płocka wcale nie mamy. Dostyc powiedzieć, że zdarza się nieraz, iż pocztyljon z Lipna porzuca zatopioną w błocie brykę wśród drogi, a sam piechotą lub konno dostarcza pocztę do Dobrzyńca. Błoto zaś jest tak grzęzkie, że trzeba bry-

kę rozbierać na części, by ją z niego wyciągnąć. Do Wisły, która jest wtedy jedynym środkiem komunikacyjnym, również z miasta nie można się dostać; „zjazd” do przystani z góry 175 stóp wysokiej, w czasie błota jest formalnie nie do przebycia, nie tylko dla wozów, ale i pieszych. Grunt zawiera tutaj na parę łokci głęboką wierzchnią warstwę gliny czerwonej, nadzwyczaj lepkiej. Jeżeli się zważy, że istnieje, w górze masa źródeł, można sobie przedstawić, co się dzieje na „zjeździe” w czasie roztopów. Furmani zabijają tutaj konie, ludzie grzęzną i przewracają się, przeklinając zarząd miejski, który jak najspokojniej na to patrzy. Jedynie korzystają na tem tragarze, którzy za przeniesienie na barkach kobiety do miasta biorą półrubla.

Jest to rzeczywiście rzeczą niepojętą, że miasto, które zdobyło się na wybrukowanie ulic, na latarnie i pompy, które posiada przy tem przeszło 23,000 rubli w banku, nie myśli o wybrukowaniu i wzmocnieniu „zjazdu”. A sprawa to tembardziej nagła, że na prawym brzegu Wisły, od Płocka do granicy, Dobrzyń stanowi najważniejszą przystań.

Chciałbym parę słów powiedzieć o sprawach szkolnych w Dobrzyniu; nie będą one jednak zrozumiałe dla czytelników bez uprzedniej charakterystyki miejscowej inteligencji, od której bądź-co-bądź sprawy te zawisły.

Panuje tu w stosunkach towarzyskich kastowość. Towarzystwo dzieli się na kilka kółek, z których każde, czy w kościele, czy na spacerach lub w stosunkach domowych usilnie się wystrzega styczności z drugimi, klasowo niżej postawionymi. Jeżeli ktoś z przedstawicieli kółka „dygnitarzy” przemówi do przedstawiciela kółka klasowo niższego, ten ostatni rumieni się, zażenowany nadmiarem szacunku. Kółka te wiodą pomiędzy sobą wojnę za pomocą małomiastek plotek i intryg, i nigdy najżywoniejsza sprawa, która wspólnie wszystkich obchodzić powinna, nie łączy tych ludzi nie tylko do czynu, ale nawet do naradzenia się nad tem, co robić należy. Tak samo, jak w sprawie separacji gruntów miejskich, inteligencja nasza zachowuje się obojętnie i względem szkolnictwa. W Dobrzyniu istnieje tylko jedna szkoła elementarna dla dzieci obojga płci i wszelkich wyznań, oraz 5 żydowskich chederów. Jedna szkoła dla dzieci chrześcijańskich — to stanowczo zamało. Dla braku miejsc w szkółce wiele dzieci mieszczanek wcale do niej nie uczęszcza; włączają się one beczynnio po ulicach Dobrzynia, skazane przez społeczeństwo na wieczną ciemnotę. W Dobrzyniu nieodzownie jest potrzebna szkoła żeńska. Koszta jej utrzymania są niewielkie, prawdopodobnie około 230 rs. rocznie, trudno uwierzyć, żeby miasto, posiadające kapitały, nie mogło się zdobyć na tak niewielki wydatek.

G. K.

Poniewież, w maju 1890 r.

(Towarzystwa kredytowe w powiecie poniewieżkim).

Towarzystwa wkładowo-zaliczkowe, prawie nieznanne w Królestwie, są bardzo popularne i rozpowszechnione w południowo-zachod. gub., chociaż powstały one stosunkowo niedawno. Pierwszem towarzystwem tego rodzaju w państwie ruskim było W. Z. Towarzystwo roźdiestwienskie (w gub. kostromskiej), zatwierdzone przez rząd 3 listopada 1865 r. a otwarte 29 czerwca 1866 roku.

Uptęnięto jednak kilka lat nim okazało się możliwym pomyśleć o założeniu Towarzystw wkładowo-zaliczkowych w naszym kraju; jakoż dopiero 12 stycznia 1872 r. rząd zatwierdził pierwszą ustawę Towarzystwa wkładowo-zaliczkowego w miasteczku Widzach, gub. kowieńskiej. Od tego czasu zaczęto krzątać się około zakładania tych pożyczecznych instytucyj, tak że w chwili obecnej istnieje ich w gub. kowieńskiej—38, a mianowicie: w powiatach: kowieńskim—2, wiłkomierskim i poniewieżkim po 7, nowo-aleksandrowskim¹⁾ 11, szawelskim—6, telszewskim 3 i rosieńskim—2. Nazwy towarzystw —to przymiotniki, urobione z nazw miejscowych, wyjątek stanowią tylko cztery towarzystwa, nazywające się: krasnogorskim, błagowieszczeńskim, troickim i slobodzkiem. Na założenie

11-tu Towarzystw wkładowo-zaliczkowych generał-gubernator z t. z. „kapitału osiedleńców ruskich” kazał wydać 10591 r.; z tego źródła założono trzy towarzystwa w miastach: Nowo-Aleksandrowsku¹⁾, Rosieniach i Telszach, przy zjazdach sędziów pokoju i osiem przy następnych rządach włóściańskich: onikazyńskim, uszolskim i rogowskim, powiatu wiłkomierskiego, brasławskim i rakiskim,—nowo-aleksandrowskiego, pompiańskiego,—poniewieżkiego, oraz błagowieszczeńskim i wiekszniańskim,—szawelskiego (Pamiętnik gubernii kowieńskiej za r. 1885, str. 276).

Towarzystwa wkładowo-zaliczkowo krasnogorskie (pow. nowo-aleksandrowskiego) i kupińskie (pow. wiłkomierskiego) powstały dzięki ofiarności miejscowych włóści, które im pożyczki bez procentu 1603 r.; wszystkie pozostałe powstały z inicjatywy prywatnej. Założycielami byli przeważnie więksi właściciele ziemscy; kapitały niezbędne powstały z opłat od udziałów. Członkami towarzystw wkładowo-zaliczkowych mogą być wszyscy pełnoletni bez różnicy płci, stanu, wyznania i narodowości, (naturalnie mówię tu o tych instytucjach, które powstały z inicjatywy prywatnej), faktycznie atoli istnieją pewne wyjątki... niekiedy usprawiedliwione, częściej natomiast niedające się niczem wytłumaczyć, tak np. towarzystwo czypiańskie, złożone z chłopów i pseudo-inteligencji litewskiej, nie przyjmuje większych właścicieli ziemskich, ale vegetuje ono, nie ciesząc się zaufaniem włóścian.

Faktem jest, iż chłopowie najczęściej ufają tym towarzystwom, na czele zarządu których stoją więksi właściciele ziemscy lub wogóle ludzie, dający pewną rękojmnię...

Administracja towarzystw zwykle składa się z przewodniczącego i zarządu, oraz rady nadzorczej z osobnym prezesem na czele; członków administracji obiera doroczne zebranie walne, któremu składają się sprawozdania roczne, ono też ustanawia wydatki i t. d., a zbierają się na nie wyłącznie mężczyźni, chociaż nawet bezpośrednio mogą uczestniczyć i kobiety. Przewodniczący zarządu pobiera zwykle 400—600 rs., a członkowie 200—300 rs., oraz pewien procent od zysku czystego, członkowie rady nadzorczej wraz z swym prezesem mają po 5 rs. za każde posiedzenie, które zdarza się 5—6 razy w ciągu roku.

Nie tylko cała administracja, ale i kierownictwo sprawami towarzystw znajduje się niemal wyłącznie w ręku większych właścicieli ziemskich i inteligencji, na czem one wychodzą wcale dobrze, bo wciągu kilkunastu lat ich istnienia zdarzyło się tylko parę wypadków malwersacji. Rozwój stopniowy tych instytucyj nie da się zaprzeczyć. Sfera ich działalności jest dość ograniczoną warunkami lokalnymi, jest ustawami.

W każdym razie towarzystwa wkładowo-zaliczkowe przynoszą znaczną korzyść, rozwijając ducha oszczędności i zapobiegliwości, oraz ułatwiając drobny a tani kredyt i zniżając stopę procentową do 10%. Zaufanie chłopów, którem się cieszą towarzystwa, rozumnie a uczciwie administrowane, jest znacznem; coraz częściej włóścianie lokują swe oszczędności w towarzystwach czyli tak zwanych pospolicie „bankach” a nie u księdza proboszcza, jak nakazuje zwyczaj odwieczny²⁾: tak w towarzystwie Nowo-Miejskim w dniu 1 (13) stycznia r. b. depozyty wynosiły pokaźną sumę 9,728 r., z których największy nie przerosł 100 r. (bardzo mało) a większa połowa nie sięgała 50 r. Jako przykład stopniowego rozwoju tych instytucyj, opiszę w kilku słowach towarzystwo wkładowo-zaliczkowe, zwane Nowo-Miejskim. Ustawa tego towarzystwa zatwierdzoną została 30 kwietnia 1876 roku; swe czynności rozpoczęło ono 1 lipca tego roku z kapitałem zakładowym 555 r., licząc 30-tu członków. Dziś towarzystwo pomienione posiada ich 600 t. j. maximum zakresłone ustawą. Od 1 lipca r. 1876 do 1 stycznia 1890 r. udzieliło ono pożyczek na sumę 1.246,171 rs., których

¹⁾ Uprzednio Pojeziorosy.

²⁾ Przytaczam jeden fakt odnośny. Pośmierci ks. generał-superintendenta Moczulskiego, proboszcza reformowanej parafii Birzańskiej, okazało się, że chłopowie miejscowi złożyli mu kilkanaście tysięcy rubli, które nieboszczyk ulokował w banku Mitawskim, zapisując nazwiska.

maximum wynosi 300 rs. a minimum—20 rs. Stan majątkowy towarzystwa Nowo-Miejskiego w dniu 1 stycznia r. b. wynosił: stan czynny—129210,50 r., kapitał zapasowy 9114,28 r.; depozyty—9728 r.; udziały członków stowarzyszonych równały się 26925 r. W roku minionym towarzystwo udzieliło pożyczek na sumę 200045,68 r., biorąc po 10%. Strat nie było żadnych. Zysk (brutto) wynosił 21208,36 r., wydatki—13738,36 r., zatem zysk (netto)—7470,00 rs. Wydatki były następujące:

Splata % i dywidendy 8066,35 r.

Administracja 2786,05 r. (20,20%).

Podatki państwowe 225,53 r.

Fundusz żelazny 986,28 r.

Na stypendjum 144,00 r.

Rozmaite 1530,15 r.

Nie gorzej też wiedzie się i towarzystwu Remigolskiemu. Oprócz wspomnianych towarzystw istnieją jeszcze w powiecie poniewieżkim konstantynowskie, podbirzańskie, czypiańskie, zemejańskie i pompiańskie. Pompiańskie i czypiańskie vegetują podobno; o podbirzańskim i zemejańskim nie mam żadnych wiadomości, konstantynowskie zaś (t. zw. bank grubański) po zesłorocznej katastrofie znowu zaczyna rozwijać się pomyślnie. Tu nie od rzeczy będzie parę uwag ogólnych, które można zrobić co do towarzystw wkładowo-zaliczkowych i ich administrowania. Administracja ich wogóle kosztuje drogo, bo pochłania około 1/3 części ogólnej sumy wydatków a przytem często jest zbyt pobłażliwą i łatwowierną, chociaż ostatnie zarzuty prędzej możnaby zastosować do rad nadzorczych, istniejących niekiedy „pro forma”; ta okoliczność właśnie umożliwiła znane malwersacje w towarzystwach wkładowo-zaliczkowych w Rakiszkach (w drugim) i Konstantynowie. Nie mniej godnem nagany jest zbyt powodowanie się względami sąsiedztwa, towarzyskości, pokrewieństwa i t. d. przykładów nie zabraknie. Walne zebrania doroczne zwykle zgadzają się pełnie z wnioskami zarządu, odegrywając rolę bierną. Kredyt udzielany jest stanowczo za drogi. Mimo to wszystko towarzystwa wkładowo-zaliczkowe oddają usługi znacznej a ich założycielom należy się uznanie ogółu.

Oprócz towarzystw zaliczkowych mamy w naszym powiecie jeszcze jedną publiczną instytucję kredytową, a mianowicie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu w Poniewieżu, które ma się bardzo dobrze. Założonem ono zostało w r. 1881; jego stan majątkowy w dniu 1 stycznia r. b. był następujący: udziały członków (390)—32482,00 r., kasa—14964,12 r., fundusz żelazny—5651,78 r., teka wekslowa—145852,15 r., weksle protestowane—8698 r., obrót roczny—4043806,56 r. (o 258664,63 r.) mniej, zysk czysty—5528,49 r. Straty wynosiły tylko 664,44 r. Wydatki roczne określono na 9,300 r. Zmniejszenie obrotów i zysków przewodniczący zarządu tłómaczył złą wolą osób, które rozpuszczały wszędzie pogłoski trwożliwe; w tem tłómaczeniu tkwi część prawdy, ale bez wątpienia działały i przyczyny inne np. ogólna stagnacja handlowa, nieszczerólny urodzaj zesłoroczny i t. d.

Tu dodam parę słów o kredycie prywatnym. Normalny kredyt rzeczowy wogóle nie istnieje, a hypoteczny jest nadzwyczaj ograniczony prawem z dnia 28 grudnia s. s. 1884 r.; w miastach pod zastaw nieruchomości można zaciągnąć pożyczkę prywatną po 8%—10%, ale właściciel ziemski, który praktycznie nie może zastawić swego mienia, płaci minimum 12%. Osobisty kredyt praktykują tu często; kredytują zwykle żydkowie, biorąc słone procenta.

J. W.

Przegląd społeczny.

Dąbrowa. (Kor. „Głosu”). Trzeba przyznać, jeśli się nie jest uprzedzonym, że nasze stowarzyszenia spożywcze z najrozmaitszych przyczyn nie odpowiadają swemu zadaniu: zamiast dbać o dostarczanie swym członkom dobrych i tanich produktów, zamieniają się one po prostu w zwykłe spółki kupieckie i polują na wysokie dywidendy. Podczas kiedy członkowie takich stowarzyszeń kupują w innych sklepach, sklep stowarzyszenia, założony w punkcie, gdzie nie ma innych, ściągają obcą publiczność i czasami dobrze się rozwija. Podobnie postępuje i „Nadzieja” dąbrowska. Stowarzyszenie to niewiele dba o dobroć i

¹⁾ Dawniej brasławski.

łaność towarów, to też, z wyjątkiem produktów spożywczych, wszystkie inne towary są tu gorsze i droższe, aniżeli w innych sklepach. Aby jednak osiągnąć znaczne zyski, używa ono różnych sposobów, z których wymienię tu jeden. Właścicielom kopalń zaproponowano, aby swym robotnikom otwierali kredyt w stowarzyszeniu, na co właściciele zgodzili się. Powierzchnemu badaczowi może się zdawać, iż robotnicy na tem zyskali, ponieważ mogą mieć potrzebne im towary w każdej chwili, nie oczekując na wypłatę zarobku. Rzecz się jednak ma inaczej: robotnicy stracili na tej operacji. Zarząd stowarzyszenia, aby zachęcić administrację kopalń do otwierania robotnikom kredytu w sklepach stowarzyszenia, wypłaca oficyjalistom fabrycznym 6^o/_o, czy też 10^o/_o, od zakupu, dokonanego przez robotników, czyli, tłumacząc to na język powszechnie zrozumiały, sprzedaje robotnikom wszystko o tyleż drożej. Na ostatniem ogólnem zebraniu kilku członków poruszyło tę sprawę i nazwało tego rodzaju operację właściwem mianem. Nie jednak nie wskórali, gdyż członkowie ze sfer wyższych, należący do stowarzyszenia, narobili wielkiej wrzawy, grożąc oponentom sądem. Jeden z nich nawet na koszt procesu chciał dać 100 rs. z własnej kieszeni; chcąc się zaś pochwalić, że ma tęczówkę, deklarował się natychmiast ją złożyć. Inny radził opozycję wyrzucić do drzwi, trzeci zaś nazwał oponentów szubrawcami i, zwracając się do robotników, należących do stowarzyszenia, wołał, że opozycja chce ich zguby. Świetnie! Tego rodzaju procenty praktykują się nie tylko w „Nadziei”. W tutejszych kopalniach węgla istnieje zwyczaj, iż każdy z robotników wynagradzanych miesięcznie może dostać codziennie od zarządu bochenek chleba, za który wytrącają mu dopiero przy wypłacie. Chleb ten kosztuje robotników drożej, aniżeli zwykle w sklepach, ponieważ administracja kopalni dostaje od piekarsza 10^o/_o za swoją fatygę, co rozumie się muszą zapłacić piekarszowi robotnicy. Dalej, chleb ten jest gorszy od tego, jaki zwykle sprzedają w sklepach, i nie trzyma wagi. Niedosć tego, administracja oszukuje górników jeszcze w inny sposób na tym chlebie: zapisuje im większą ilość bochenków, aniżeli rzeczywistość wzięli, a prócz tego za karę pozbawia robotnika na ten lub ów dzień prawa otrzymania bochenka chleba.—Od 1861 r. istnieje w Dąbrowie stowarzyszenie czytelników, założone przez urzędników górnictwa, którzy początkowo dali do biblioteki pewną ilość książek, prócz tego zaś płacili składki po 35 kop. miesięcznie. Następnie dopuszczono do udziału w czytelni i obce osoby, lecz z obowiązkiem wnoszenia jednorazowo 1 rs. 50 kop. i miesięcznie 50 k. W dalszych latach zniszono to i ustalono dla wszystkich wpisów w wysokości 1 rs. 50 k., oraz jednakową składkę po 30 kop. miesięcznie. Biblioteka liczy sporo dobrych dzieł, wszystkich zaś jest przeszło 2,160. Zarząd biblioteki jest corocznie wybierany przez stowarzyszonych, których liczba dosięga stu. Od roku zeszłego część biblioteki znajduje się w Suchedniowie, dokąd posłano coś 300 dzieł, które po przeczytaniu powracają do Dąbrowy, na ich zaś miejsce wysyłane są inne.—Z instytucyj społecznych w Dąbrowie należy jeszcze wymienić klub, który jednak podobno niczem szczególnem się nie odznacza. Wprawdzie można tam znaleźć pewną ilość pism, głównie jednak zajęcia zbierających się stanowią gra w karty. Filija warszawskiego stowarzyszenia cyklistów, powstała niedawno w Dąbrowie, liczy do 30 członków.

A. Wiśniewski.

Łódź. *Dziennik Łódzki* w artykule „Krzywdzące zwyczaje” omawia parę ciekawych szczegółów ze stosunków robotniczych w fabrykach łódzkich, a przedewszystkiem kwestyję t. zw. „wkupnego”. Każdy z nowostępujących do fabryki robotników po objęciu czynności zapłacić musi swym kolegom haracz, przewyższający często sumę jego tygodniowego zarobku. Bez „wkupnego” niewyjdzie mu nie może utrzymać się na stanowisku; koledzy odmówią mu wskazówek, pomocy w oryentowaniu się w nowych warunkach pracy i dokucać będą dopóty, dopóki nie zmuszą go do opuszczenia fabryki. Lecz i „wkupne” nie zabezpiecza, podług autora, od tej ewentualności, leży bowiem w interesie pracujących w fabryce, żeby jaknajczęściej zdarzała się okazja „wkupnego”, więc przez podkopywanie stanowisk kolegów starają się przyspieszyć „wkupne” wchodzących na ich miejsce nowicyjuszów. Jako drogą przyczynę ciągłych zmian pracowników w fabrykach autor przytacza działalność faktorów, utrzymujących się z pośrednictwa w zdobywaniu korzystniejszych miejsc w fabryce. Im chodzi o to, żeby jak najwięcej robotników poszukiwało pracy. „Zdarza się czasem, że nawet sami właściciele mniejszych fabryk są w porozumieniu z faktorami i dopomagają im w nieczym procederze. Odwoływać się do uczuć tych panów byłoby daremnym wysiłkiem.” Autor zwraca także uwagę na nienormalny stosunek koleżeński między robotnikami a pomocnikami, zadaniem których jest wykonywanie robót, nie leżących w zakresie specjalności robotnika. Pomocnicy ci wymagają od robotników wynagrodzenia lub po-

częstunku, a gdy przez pewien czas nie otrzymują, mszczą się w rozmaity sposób. W chwilach, kiedy są najbardziej potrzebni, odmawiają pomocy, lub spełniają obowiązki źle. W warsztatach mechanicznych jednej z fabryk bawełnianych, ślusarz, nie mogąc się doczekać pomocnika, wziął się sam do roboty kowalskiej i wskutek braku wprawy robił to tak niezręcznie, że silnie się pokaleczył. Fakt ten jest jednym z wielu, zdarzających się w fabrykach, gdzie robotnicy wynagradzani są od sztuki i, pracując pędźmi, woła sami brać się do czynności do nich nie należących, niż oczekiwać na pomocników.—„Zdarza się często, że robotnik płatny od sztuki przy wypłacie tygodniowej otrzymuje znacznie mniej niż się spodziewał, bo majster obniżył mu wynagrodzenie od sztuki, widząc, że suma jego zarobku przewyższyła zwykłą normę. Gdy upomni się o krzywdę, otrzyma kategorię odpowiedź: jeżeli ci się nie podoba, porzuć fabrykę, jutro już inny pracować będzie przy tym warsztacie.” „A przecież, kończy autor, w każdym przedsiębiorstwie chodzi o wyrobienie pracowników dzielnych i obojętnie spełniających swe obowiązki!”

Przemysłowcy niemieccy, w Łodzi zamieszkali, tworzą spółkę udziałową, która weźmie w administrację zarząd stałego teatru łódzkiego. Autorowie i kierownik artystyczny mają być sprowadzeni z Niemiec, kierunek mianowicie ma być powierzony b. dyrektorowi berlińskiego „Resindenztheatru”, p. Arturowi Rosenthalowi.

Radom. Dobra Fidor, własność hr. Wielhorskiego, położone przy kolei dąbrowskiej, sprzedane zostały spółce żydowskiej za 220 tysięcy rubli. Wartość samych lasów wynosi około pół miliona rubli. Wycięcie tych lasów miało właśnie chodzić o wybudzenie pracowników dzielnych i obojętnie spełniających swe obowiązki!

Kalisz. Sprawa o dyfamacyję, wytoczona przeciwko redaktorowi *Kaliszanina*, p. K. Witkowskiemu, została, jak się z tegoż pisma dowiadujemy, w d. 20 b.m. w Senacie reztrygnowana. P. K. W. pociągnięty był do odpowiedzialności na skutek skargi, wniesionej do prokuratora izby sąd. war. przez b. członka sądu kaliskiego, obecnie wice-prezesa sądu w Tambowie, który dopatrywał się w pomieszczeniu przed rokiem w *Kaliszaninie* sprawo zdaniu sądowem osobistej obrazy. Z izby sądowej, która p. K. W. od odpowiedzialności uwolniła, sprawa na skutek protestu apelacyjnego przeszła pod rozpoznanie senatu, ten zaś apelację prokuratora odrzucił.

Turek. W miejscowej sali teatralnej odbył się odczyt p. Adeli Malewicz. Prelegentka mówiła o charakterze i prawdziwym wykształceniu. Publiczność zebrała się nielicznie.

Warta. Korespondent *Kaliszanina* notuje, że cukrownia „Cielce”, na wzór innych fabryk zajęła się rozpowszechnianiem wśród włościan teoretycznych wiadomości, dotyczących sadzenia i uprawy buraków. Rozpowszechniona w tym celu broszurka, opracowana przez dyrektora fabryki „Młodziszyn”, p. t.: „Jak powinni gospodarze uprawiać buraki cukrowe, ażeby im się dobrze rozdziły”, odpowiada podobno zadaniu i budzi wśród włościan żywe zainteresowanie.

Lublin. Na wystawę koni włościańskich, która odbyła się w dniu 18-tym bieżącego miesiąca dostarczono ogółem 87 koni. Komisja sędziów odznaczyła 17 sztuk i tytułem nagród wypłaciła wystawcom 200 rs. Pojedyncza nagroda wynosiła od 7 do 30 rs. — Na tegorocznej wystawie konie i źrebięta przedstawiały się na wygląd gorzej niż w roku zeszłym, co daje się tłumaczyć brakiem paszy w ziemie.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Głośna sprawa „Skublińskich wileńskich” nie przebrzmiewa; liczba oskarżonych wciąż wzrasta. Skonstatowano, że na czele żydowskiej szajki dzieciobójczyń stała nie Rojza Mikloszańska, jak to pierwotnie przypuszczano, lecz Fajga Noskinowa, b. prostytutka, kobieta głucha i nawpół ślepa. Jedną z głównych współniczek Noskinowej była Kuńka Bejnawrowiczowa, która z początku, dla braku dowodów, została uwolniona z więzienia, i usiłowała drapać do Ameryki. B. została złapaną w Kownie. Pewien tygodnik petersburski doniósł, że oprócz kilku żydówek, pociągnięto do odpowiedzialności kilkanaście chrześcijanek, dziewcząt, które swe dzieci nieprawe „na wychowanie” do Noskinowej i jej współniczek oddawały. Otóż, wiadomość ta jest zmyśloną: dziewczęta-matki nie wiedziały, jaki los spotka ich dzieci, nie ma więc za co je karać. Kilka z nich z początku się obawiało odpowiedzialności i nader niechętnie ujawniały straszne tajemnice dzieciobójczyń; gdy jednak się przekonały, że one same karane nie będą, szczerze i bez ogródki zaczęły opowiadać prawdę. Przeglądając się systematycznemu mordowaniu niemowląt w Wilnie, musimy dojść do przekonania, że posiadało ono nieco odmienny, niż w Warszawie charakter. Tam fabrykowaniem aniolków trudniły się chrześcijanki (sprawa Skublińskiej); dzieci oddawane im na wychowanie były przeważnie „pochodzenia” chrześcijańskiego i należały do dwóch kategorii: 1) nieprawe, urodzone przez panie z „towarzystwa”, i 2) prawe i nieprawe, urodzone przez

służące, wyrobnice i t. p. Pierwsze, za pośrednictwem, najczęście, akuszerki wprost oddawano do „fabryki” na zagładę, drugie, w większości wypadków—na wychowanie: matki, nie mogące mieć swych dzieci przy sobie, płaciły chętnie za ich pielęgnowanie. W Wilnie „fabrykacją” zajmowały się wyłącznie żydówki; dzieci mordowane były w połowie żydowskie, wyłącznie nieprawego pochodzenia. Otóż żydowskie dzieci matki same przeznaczaly na zaturę. Dzieci nieprawe u żydów się nie tolerują: jeszcze bardziej, niż u nas, prześladowane są i matki i dzieci. Większość dzieci żydowskich z lewego łoża („mamzer”) ginie śmiercią gwałtowną, wkrótce po swem przyjsciu na świat, lecz po dokonaniu obrzezania. Te nieliczne okazy, które ujęte dołają ręki zbójckiej, wszędzie i na każdym kroku narażone są na obelgi wszelakie ze strony swych współwyznawców, drwiny, prześladowania i t. p. W żydowskich dzielnicach Wilna często widzieć można jak za nieszczęśliwym żydowskim dzieckiem nieprawem pędzi ulicą cała zgraja żydzyt, wołających nań ze śmiechem: „mamzer, mamzer!”—obrzucających je błotem i t. p. Od chwili przyjscia na świat nieszczęśliwy „mamzer” jest zawsze przedmiotem prześladowań wszelakich: piętno swej „nieprawości” nosi na swem czole. — Na odbytem tu przed kilku dniami ogólnem zebraniu wileńskiego towarzystwa wysycigowego między innymi uchwalono: wystawę rolniczo-przemysłową urządzić w Wilnie w roku 1891, w miesiącu wrześniu do 18 do 22. W dziale przemysłu domowego, drobnego wystawcy z Królestwa Polskiego będą tym razem dopuszczeni.—W głośnie sprawie osławionego p. Ignacego Korkorowicza (Czepiele, pow. słucki)—o falszowanie starki, w tutejszej izbie sądowej zapadł w tych dniach wyrok, zatwierdzający decyzję mińskiego sądu okręgowego, na mocy której p. K. został skazany na 93,000 rs. kary. K. R.—ski.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Ze sprawozdania wydanego w tych czasach przez wileński bank ziemski dowiadujemy się, że w r. 1889 w pięciu guberniach litewskich sprzedano w drodze przymusowej za długi bankowe 18 majątków. Ogólna przestrzeń tych majątków wynosiła 11,000 dziesięcin oszacowanych przez bank na 377 tysięcy rs.; ciężący je dług bankowy wynosił 231 tys. rs. Ze sprzedaży bank otrzymał 250 tys. rs., t. j. sumę przewyższającą dług niespełna o 20 tys., niższą zaś od sumy szacunkowej blisko o 150 tys. rs. Rezultat nieświetny, zwłaszcza, że jeden majątek musiał być przez bank nabyty. Ogólna liczba majątków wystawionych w r. z. na sprzedaż dosięgała 1,000. Maximum sprzedanych majątków przypada na gubernię wileńską, minimum na grodzieńską. Podług obszarów najwięcej sprzedano majątków mniej niż średniej wielkości (od 55 do 328 dzies.) mianowicie 10, większych po nad 1,000 dzies. zaledwie 3. — Odbyły się wybory na kandydatów do rady miejskiej; wybranymi zostali pp. Lipiec (żyd) i Steckiewicz b. urzędnik policyi i ławnik. *Prawdomi!*

Kaniów. Z „Prawit. Wiestnika” dowiadujemy się, iż w dniu 22 kwietnia (st. st.) roku bieżącego dopełniono poświęcenia skromnego pomnika na mogile poety Tarasa Szewczenki, wznoszącej się o 5 wiorst od Kaniowa. Na nabożeństwo zgromadziło się około 40 osób, w tej liczbie krawińscy poety i siedemdziesięcioletni Michał Kreczmer, przyjaciel i wielbiciel Szewczenki.

Petersburg. Hr. Leon Tołstoj od lat dziesięciu poświęcił genialne swe pióro wyłącznie propagandzie swych religijno-etycznych poglądów. Nie sprzeciwianie się złemu, obowiązująca praca na roli dla męgożyzni i „rodzenie dzieci” dla kobiet—oto główne zasady jego nauki. Ostatniemi jednak czasami w poglądach jego zaszła znaczna zmiana. Jako ideał dla ludzkości stawia on absolutny celibat, wszelkie zaś małżeństwo jest grzechem. Nieuznanie tego i idealizowanie miłości jest przyczyną upodlenia kobiet i źródłem wszelkich nieszczęśliwości w życiu rodzinnem. Ideje te, głoszone przez bohatera ostatniej jego powieści „Sonata Kreutzera”, wywołały ożywione debaty w społeczeństwie i prasie. Niektórzy usiłowali dowodzić, że idea bohatera powieści nie są ideami hr. Tołstoja. Do autora posypały się zewsząd listy z zapytaniami, spowodowały one ukazanie się „epilogu”, w którym hr. Tołstoj uzasadnia we własnym już imieniu poglądy swego bohatera. Propaganda znakomitego pisarza zwraca uwagę nie tylko społeczeństwa, bacznie się jej przyglądają i władze. W świeżo ogłoszonym sprawozdaniu Synodu za r. 1887 znajdujemy ustęp, poświęcony hr. Tołstojowi. Dowiadujemy się z tego, że w roku sprawozdawczym hr. T. nie mógł wywierać takiego wpływu na chłopów, jak lat uprzednich, ponieważ mieszkał przez cały rok prawie w Moskwie, w czasie zaś pobytu na wsi siał on wprawdzie i kosił, jako też okazywał pomoc uboższym własną swą pracą, nie mógł jednak tak hojnie udzielać pomocy materyjalnej, ponieważ synowie ograniczyli jego rozrzutność i nie pozwalają chłopom na nadużywanie jego własności. Ustną propagandą wśród chłopów hr. Tołstoj nigdy się nie zajmował, używając do tego innych. Jednym z takich był przechrzta

celu. Nowe ministerjum nie zgadza się na żadne w tej mierze zmiany, opozycja przyjmuje to w danej chwili dość obojętnie. Rządowi węgierskiemu grozi zatarg z biskupami z powodu prawa o małżeństwach mieszanych. Na zasadzie tego prawa synowie winni byli należeć do wyznania ojca, córki zaś do wyznania matki. Prawo to nie było ściśle przestrzegane, ministerjum wydało niedawno rozporządzenie o ścisłym stosowaniu prawa, biskupi zaprotestowali i papier stanął po ich stronie. Stosunki Austrii z Serbią wciąż są naprężone. Niedawno w Belgradzie podczas pogrzebu redaktora „Wielkiej Serbii” wygłoszono szereg mów, tonących nienawiścią dla Austrii, mówom tym przysłuchiwali się wszyscy niemal ministrowie. Hr. Kalnoky zadowolony się musiał kondolencją posła serbskiego, który zapewniał, że rząd oficjalnie nie był obecny na pogrzebie.

Stosunki Francji z Włochami stale dążą do polepszenia, natomiast stosunki z Anglią wciąż są zakłócone rozmaitemi drobnymi, lecz trudnymi do rozwiązania sprawami. Taką jest np. sprawa rybolówstwa na wodach Newfoundlandu. Według traktatu utrechckiego Francja ma do tego prawo, rybacy newfoundlandzcy są z tego mocno niezadowoleni i grożą Anglii oderwaniem się. Z tego powodu wynikają wciąż drobne pertraktacje dyplomatyczne, nieraz do najwyższego stopnia komioczne. Niedawno np. gabinet lorda Salisbury’ego podniósł kwestyję: czy homary mogą być do ryb zaliczane. Rząd francuzki, broniąc swego prawa, powoływał się na słownik akademicki z r. 1776, w którym homary i raki figurują jako ryby. Rak, według tego słownika, jest to drobna ryбка czerwona, mająca zwyczaj obodzenia w tył. Zresztą Francja ma prawo „pêcher” na wybrzeżu, a wyraz ten używa się zarówno dla połowu ryb, jak i homarów. Izba francuzka przyjęła prawo, ustanawiające w kopalniach rewizorów bezpieczeństwa, których wybierają z pośród siebie robotnicy (jednego na 750) oplaca zaś właściciel kopalni.

Włochy trapione są wciąż rozruchami w Romanii. Główna wina spada tu na postępowanie władz. Robotnice na polach ryżowych domagały się podwyższenia płacy za dzień 14 godzinny z 60 centimów na 1 franka i w tym celu urządziły demonstracyję. Gdy miały już się rozsejść, karabinierzy rzucili się gwałtownie na tłum dla dokonania aresztów. Ktoś rzucił kamieniem w żołnierzy, oficer, nie wiele myśląc, kazał strzelać do uciekających już kobiet. Wzburzenie umysłów jest straszne, przychylnie nawet rządowi gazety potępiają surowo zachowanie się władz.

Szwajcarska rada związkowa przygotowała projekt do prawa o wydawaniu przestępców, na zasadzie którego tylko przestępcy polityczni wydawani nie będą. Oskarżenia jednak o zbrodnie zwykle, chociażby objaśniali je motywami politycznymi, z prawa tego korzystają nie mogą. W każdym razie istotę czynu określać będzie przed wydanem szwajcarski sąd związkowy.

Izba francuzka unieważniła wybór Picota, który we wrześnie zwyciężył w dep. Wogezów Juliusza Ferry’ego. W ten sposób ten ostatni wejdzie prawdopodobnie znowu do izby.

Prezes gabinetu bawarskiego Lutz, znany ze swej walki z katolikami, podał się do dymisji z powodu „nadwątlonego zdrowia”.

Panica skazany został na rozstrzelanie, sąd jednak przedstawił prośbę o zamianę tej kary na 15-letnie więzienie, Kołobkow (poddany ruski) skazany na 9 lat więzienia, Rizow i Arnaudow na 5. Panica protestował przeciw oskarżeniu.

W Irlandyi ponawiają się zakazane mityngi, doprowadzające do zająć z policyją i wojskiem.

KRONIKA LITERACKA.

Wiek obłudy przez P. Mantegazzę. Nakładem T. Paprockiego, Warszawa 1890.

Polskiej publiczności, o ile można wnosić z ruchu wydawniczego, Mantegazza przepadł do smaku. Lekko i nie bez pięprzyków pisane rzeczy zawsze zresztą łatwo wpadają w łaski czytelników, a twórczość Mantegazzę podąża tym właśnie torem. Broszurka „Wiek obłudy” (urzędnie drukowana w „Życiu”) może bardziej niż inne stwierdza ten fakt. Autor stara się w niej pochwycić zasadniczy rys wieku XIX i, przebiegając rozmaite dziedziny zjawisk życiowych, wszędzie znajduje kłamstwo i obłudę.

„Państwo obłudy rozciąga się od bieguna złego do bieguna dobrego”, „obłuda jest listkiem figowym społeczeństw dzisiejszych”—nic więc dziwnego, że na przestrzeni 67 stron można było snuć wątek z jej objawów. Czytelnikowi znającemu katońską i sceptyczną literaturę wieku, książeczka Mantegazzę nie powie nic nowego. Lecz dla wielu ludzi, którzy umysłem nie sięgnęli zbyt wysoko, ła-

two i lekkie pióro autora może ułatwić zrozumienie tych ostatecznych konkluzyj, jakimi kończy swą pracę: „Społeczeństwo współczesne ma za podwalinę ogromną moc kłamstwa, w które nikt nie wierzy. Przestańmyż podpierać ten gmach, a lepiej wejdźmy do suterenu, aby się przekonać o trwałości fundamentów, skoro zaś wydadzą się nam do niego niezdatne—to rozbijmy je młotem humanitarności”.

Wdowa kukufa — siebie oszukała, powiastka nap. przez J. Kowerskiego. Nakładem K. Prószyńskiego, Warszawa 1890 r.

Przybywa więc jeszcze jedna książeczka ludowa (nagrodzona na konkursie „Gazety świętecznej”) z rodzaju tych o których niewiele da się powiedzieć. Autor obrał sobie za bohaterkę wdowę, pożądaną męża i wykazał czarno na białem, że takie pożądanie jest karygodnem. Wdowa Marcinowa wyszła za młodego chłopca Wojtkę — który, jak się okazało, był nieponiem. Wojtek pokierował tak, że Marcinowa córce swej Zośce nie dała żadnego wiana; ale że ubogi Kazimirek kochał dziewczę — więc się pobrali. Później wszystko się naprawiło, bo niepoń Wojtek dostał się do więzienia za różne sprawy i umarł; a gdy Marcinowa owdowiła raz drugi, to już męża więcej nie chciała i przygarnęła pokrzywdzoną córkę. Takim jest wątek opowieści — nie zdumiewa, ani zbytnio zajmuje, a jeśli chodzi o potoczność, to jej nie brak. W toku opowiadania stateczny gospodarz Wróbel wypowiada różne piękne nauki np. „Wy nie szukajcie z sobą spotkania pokrywom i nigdy po nocach nie rozmawiajcie za węglem, bo to uciążliwym nie przystoi.” Wątpić należy, ażeby taki stary Wróbel mógł się naprawdę łapać na takie stęchłe plewy miejskiej moralności. A jeszcze trudniej uwierzyć ażeby podzielał to zdanie autora, którem on kończy swoją książkę: „Dobrym wszędzie dobrze będzie, a złym wszędzie źle.”

Początki Mołdawii i wyprawa Kazimierza W-go r. 1359. (Odbitka z „Kwartalnika historycznego” p. Aleksandra Czołowskiego).

Stosunki polsko-mołdawskie wogóle, szczególnie zaś fakt pierwszego zetknięcia się Polski z Mołdawią w roku 1359 — należały i po części dziś jeszcze należą do najmniej wyjaśnionych krytycznie momentów naszej przeszłości, dla tego sympatycznie wypadła nam powyższą pracę p. Czołowskiego, mającą na celu wyjaśnienie tej karty dziejów naszych. P. Czołowski zajmuje się specjalnie sprawami polsko-mołdawskimi a ma w rękopisach przygotowanych już do druku kilka ciekawych w tym zakresie rozpraw; jako początek niejako tych studyjów ogłosił rzeczony autor niedawno rozprawkę pod powyższym tytułem. Rozprawa ta na celu wyjaśnienie początków gospodarstwa wołoskiego na Mołdawii, tudzież krytyczne zbadanie faktów wyprawy wojsk polskich 1359 r. celem zhołdowania młodego państewka — przedsięwziętej. Wyprawę tę opisał pierwszy Długosz, wcześniejsze źródła nie o niej nie wspominają, powtóre wyrobiło się u naszych historyków zdanie, że r. 1359 jest właśnie rokiem powstania gospodarstwa mołdawskiego; z tych dwóch głównie powodów uznał w r. 1879 p. Aleksander Morgenbesser — w osobnej rozprawie cały ten fakt za zmyślony. Pisząc o „połączeniu Rusi czerwonej z Polską przez Kazimierza W-go”, zrobiłem przypuszczenie, że wyprawa r. 1359 mogła mieć miejsce — uderzyło mnie bowiem to, że Długosz, opisując ją, przedstawia nam zarazem klęskę wojsk polskich, a przecież gdyby miał zmyślać, to raczej zmyśliłby zwycięstwo. P. Czołowski na podstawie dyplomów, głównie węgierskich, dowiódł, że gospodarstwo mołdawskie nie w r. 1359, ale najprawdopodobniej roku 1352 powstało; powtóre, że wyprawa w r. 1359 rzeczywiście miała miejsce. Długosz pisał o niej czerpał wiadomości swę z nieznanego nam dziś źródła, prawdopodobnie miał pod ręką kronikę domową Oleśnickich, bo do kładnie opisuje udział w tej niefortunnej wyprawie Zbigniewa Oleśnickiego, dziada słynnego kardynała. Rozprawa p. Czołowskiego rzuca spory snop światła na pierwotne dzieje Mołdawii, to też jako monografia historyczna ma niemałe znaczenie. Zarzut nasuwa nam się jeden. Oto autor nie może wyjaśnić pierwotnego ustroju społecznego wśród wołochów, a przecież fakty przezeń zebrane umożliwiają to do pewnego stopnia. Wołosi byli zorganizowani w gminy, na których czele stał urzędnik wybieralny, zwany „kniaziem”; wszystkie takie kniaztwa czyli gminy razem tworzyły gospodarstwo czyli województwo, na czele którego stał naczelnik kraju, wybieralny pierwotnie „hospodar.” Takich kniaziów i gospodarów spotykamy nie tylko na Wołoszczyźnie, ale wszędzie gdzie wołosi osiedli, a więc także na Węgrzech i w Polsce, sądzimy wobec tego, że pierwotny społeczny ustrój wołoski opierał się na autonomii gminnej, organizacyja zaś tych ostatnich nosi na sobie ślady — jeszcze „rodowego ustroju.” J. K. Gorzycki.

Jak gospodarze radzić sobie mają wobec braku ściółki. Napisał Jan Biedron, sekr. tow. rolniczego dla Księstwa Cieszyńskiego.

Jest to druga z rzędu 10-ćcio kopiejkowa książeczka „Czytelnik rolniczej”, wydawanej w Cieszynie przez p. Jana Biedronia. Cel tych wydawnictw, objętych ogólną nazwą „Czytelnik rolniczej”, podług słów samego wydawcy i redaktora jest następujący: „Szerzyć najważniejsze wiadomości rolnicze w masach ludowych, wyrabiać zamiłowanie do zawodu rolniczego, działać w tym kierunku, aby stan gospodarstw mniejszych podnieść o jeden stopień wyżej, oto zadania, do jakich w miarę sił i możności przyczynić się będziemy starali. Jeżeli zatem w społeczeństwie naszym znajdzie się 2,000 ludzi, uznających potrzebę tego rodzaju wydawnictwa i nie żalujących dziesięciocentowego wydatku, to czytelnia rolnicza utrzyma się przy życiu. W dniu w którym liczba ta się znajdzie, rozpocząć będziemy mogli druk dalszych książeczek, im prędzej zaś to nastąpi, tym prędzej gospodarze mniejsi otrzymają cały szereg książeczek, będących na czasie, tym prędzej nie jeden zachęcony zostanie do postępu rolniczego, a gdy takich wielu będzie, tym prędzej rolnictwo nasze podźwignie się z upadku, a gdy to nastąpi, tym więcej ziemia nasza wyda chleba dla swoich pracowników. Literatura rolnicza ludowa musi powstać, bo od tego zawisł rozwój gospodarstw chłopskich.” Myśl bardzo szczęśliwa. Jak widzimy z ogłoszenia szan. redaktora, dla pokrycia rozchodów wydawnictwa potrzeba zapewnienia zbytu na 2,000 egz., ale tak się ma rzecz w początkach tylko, bo pewni jesteśmy, że tak pożyteczne dzieła fachowo-rolnicze, przy dość silnie już rozwiniętem czytelnictwie wśród ludu, będą mogły rozchodzić się we wszystkich trzech dzielnicach, a przeto i odbijane będą w 20 — 30,000 egz., przez co cena kosztu obniży się do 3 kop. (maximum) za arkusz druku. — Teraz książeczka z 24 str. kosztuje u nas 10 k. Wielkie zasługi położy p. Biedron w sprawie oświaty i dobrobytu ludowego, jeśli inicjatywę przez siebie podaną umiejętnie w życie wprowadzi, wiemy bowiem, że usiłowanie tutejszych nakładców wydawnictw ludowych w wyszukaniu odpowiednich autorów dla opracowania dziełek rolniczych okazało się dotychczas prawie bezskutecznym. Co się tyczy obecnej książeczki, rozstrząsającej kwestyję w gospodarstwie chłopskiem bardzo ważną, a opracowanej pod względem tak fachowym jak i popularyzacyjnym wybornie, winniśmy zrobić kilka uwag drugorzędno znaczenia. Mając na widoku nawet mniej niż przeciętnego chłopa, nie należy używać terminów jeszcze nieznanym, jak np. kilogram, centymetr, składniki chemiczne i kilka innych. — Nie potrzebne są również dopiski, wykazujące niemieckie źródła, z których wiadomości i przykłady są czerpane; podał je autor chyba dla krytyków nie zaś dla czytelników, a przecież tylko o tych ostatnich chodzi. Nakoniec uważamy, że papier jest za elegancki, co niepotrzebnie musi podnosić cenę wydawnictwa, które wtedy tylko przyniesie szerszy pożytek, jeśli sumienne opracowanie odnośnych kwestyj połączy z możliwie największą taniością. A. Z.

Na Oceanie p. Edmunda Amicisa. Warszawa, 1890. Nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki.

Amicis znany jest publiczności naszej nie tylko z cieszących się zasłużonem uznaniem „Pamiętników chłopca”, ale i jako autor wielu wspomnień z podróży. Te ostatnie odznaczały się zawsze barwnością opowiadania i plastycznością charakterystyki osób, z którymi się autor spotykał. Wszystkie te zalety znajdujemy w leżącej przed nami książeczce, opisującej wrażenia autora, otrzymane w czasie podróży z Włoch do Argentyny. Statek, na którym płynął autor wiozł parę tysięcy wychodźców. Byli wśród nich wyrobniicy i chłopi ze wszystkich prowincyj, uciekający przed nędzą za ocean. „Na oceanie” jest odbitką z „Biblijoteki romansów” i stanowi rzeczywistość bardzo zajmującą, zarazem jednak pouczającą lekturę.

Obrazki szare. Powiastki i nowelle Klemensa Junoszy. Warszawa, 1890. Nakład S. Lewentala.

Treść: Po burzy, Pokój przy rodzinie, Sukcesyję po Gozdawaach, Cud na Kirkuocie i Nie odchodź. Pracy tej poświęcimy wkrótce ocenę obszerniejszą.

Prześlność i stan obecny zakładu leczniczego w Nałęczowie. (Z powodu 10-letniego jego istnienia).

Broszurka zawiera wskazówki i wiadomości, mogące zainteresować publiczność licznie zwykle odwiedzającą zakład.

Encyklopedia handlowa. Zeszyt XI.

Zawiera: Geografję handlową Królestwa p. T. Zaleskiego, oraz Geografję Niemiec, Austrii, Anglii i Francji p. A. Dygasińskiego.

Encyklopedia humoru. Nakład M. Wołowskiego. Zeszyt 20, 21 i 22.

Wielka encyklopedia Ilustrowana Zeszyt V. Czarodziejka, powieść p. Kazimierza Glińskiego. Warszawa, 1890. Nakład T. Paprockiego i S-ki.

Przewroty we wszechświecie p. Rudolfa Falba. (W państwie gwiazd. W dziedzinie obło-

ków. W głębi ziemi). Przeł. W. P. (z drzewor.).
Warszawa 1890. Nakł. Gebethnera i Wolfa.

KRONIKA Powszechna.

— **Rozporządzenia rządowe.** Kwestyja ujednostajnienia instytucyj pocztowych w Finlandyi z ruskimi została podobno ostatecznie zdecydowaną.

— **Życie społeczne.** Zgromadzenie drukarzy w drugiej połowie r. z. liczyło 327 członków. Fundusz wsparcia i zapomóg wynosi 6,363 rs. 76 kop. po strąceniu 1,904 rs. 80 kop. wydatków; fundusz na opłaty szkolne za sieroty, pozostałe po zmarłych drukarzach wynosił 546 rs., z czego wydano 217 rs., pozostało więc 329 rs.; kasa pożyczkowa posiadała u dłużników 3,068 rs. i w gotówce 80 rs. 64 kop. — Zarząd tymczasowy kolei żelaznych rządowych opracował projekt kasy pomocy dla robotników. — Wydatki na utrzymanie szpitali i wszystkich zakładów dobroczynnych warszawskich w r. z. wynosiły 954,032 rs.; ponieważ zaś dochody w tymże czasie wyniosły 837,032, zatem niedobór w r. 1889 wynosi około 117,000 rs. — Osoba, dotąd nieznaną z nazwiska, ofiarowała 10,000 rs. na założenie instytucyj higienicznej w Warszawie, mającej uczcić pamięć d-ra Chałubińskiego. Nad użytkowaniem tego funduszu, jak zapewnia „Medycyna”, obradują obecnie lekarze.

— **Kronika ekonomiczna.** Zaprzeczają pogłosce, jakoby koleje południowo-zachodnie miały być wykupione przez rząd przed upływem terminu koncesyj. — Komisya zostająca pod prezydencją Plewego zaprojektowała kredyt dla rolników na sola-weksle udzielany przez bank państwa z zabezpieczeniem na ruchomościach. Rada państwa orzekła, iż kredyt na sola-weksle jest nieodpowiednim dla pożyczek na zboże, jako krótkoterminowy. Kredyt na zboże powinien być dłuższym i trwać dopóty, dopóki ceny zboża się nie podniosą; rolnikom więc musi przysługiwać prawo odraczania pożyczki, aż do chwili ustalenia się cen. Dla włościan zaś projektowano kredyt, z warunkiem urządzenia przez nich magazynów na zboże, oraz szczegółowego wykazu zboża dla gwarancji pożyczki. Z temi zastrzeżeniami projekt został zwrócony do uzupełnienia. — Smoleńskie towarzystwo rolnicze delegowało swego wiceprezesa, znanego rolnika Engelhardta do Belgii i innych państw dla zawiązania bezpośrednich stosunków między rynkami zagranicznymi a tutejszymi producentami lnu, z pominięciem kupców pośredników. Objąsnić należy że dotychczasowymi pośrednikami byli prawie wyłącznie żydzi, którzy przez ustawiczne dolewanie wody do lnu, wysyłanego za granicę do tego stopnia go zdyskredyto-

wali, iż wszystkie składy w Rydze są zawalone lmem, a nikt go brać nie chce, cena zaś spadła do 1 rs. 50 kop. za pud z normalnych 3—4 rs. — W sprawie szarwarku wodnego utworzoną została w Warszawie komisya specjalna, mająca ułożyć odpowiednie przepisy. Dotychczas powinność ta spoczywała na nabrzeżnych (w określonej odległości) mieszkających rzek i odbywaną była w potrzebie na rekwizycję władz. Na 15 rzek Królestwa wypadło ogółem tej powinności 525,096 dni roboczych pieszych i 341,314 sprzężajnych rocznie; niezależnie zaś od tego na oczyszczenie koryta i wzmocnienie brzegów skarbu w przeciągu 50 lat wydał 1,700,000. Komisya ma przedewszystkiem zająć się sprawą szarwarku Wisły i Czarnej Przemszy. — Urzędowe dane statystyczne wykazują, iż z początkiem r. b. znajdowało się w Warszawie i zakładach fabrycznych i przemysłowych 348, warsztatów i sklepów 8,722, restauracji i traktjernih 559, szynków 686, hoteli 30 „chambres garnies” 33, zajazdów 13, ogrodów publicznych 10, teatrów 12, sal tańca 4, rynków targowych 9, stacji kolei żelaznych 4 i omentarzy 5. Statystyka przemysłowa wykazuje, iż w ciągu roku zeszłego czynnych było w Warszawie 348 zakładów przemysłowych, których produkcya przy udziale 17,827 robotników wynosiła 31,594,400 rs. Najwięcej Warszawa liczy fabryk wyrobów żelaznych (87 z produkcją 11,267,224 rubli).

— **Szkoły i oświata.** W politechnice ryskiej mają być wprowadzone wykłady w języku ruskim. — Pogłoski o zmianach w wyższym składzie ministeryjum oświecenia są pozabawione podstawy. — Z powodu zawieszenia przyjmowania studentów do instytucyj agronomicznych w Nowej Aleksandryi kurator okręgu naukowego proponuje otwarcie przy uniwersytecie warszawskim katedry agronomii. Zajęcie się tą sprawą powierzono wydziałowi matematycznemu. — Dzienniki petersburskie donoszą, iż w zakładach naukowych żeńskich w kraju nadbałtyckim wprowadzonym będzie niebawem język wykładowy ruski. — Opracowane zostały szczególne projekty urządzenia kosztów skarbu szkół przemysłowych. Dla poparcia przemysłu drobnego dozwolono urządzać wystawy ruchome prób i otwierać warsztaty. — Wyższe kursa żeńskie w Petersburgu ukończyły całkowicie 1,014 słuchaczek (w ciągu 11-letniego istnienia kursów). Liczba zaś studentek wogóle była znacznie większą, lecz ogromna ich ilość dla rozmaitych powodów rzuciła studia przed ukończeniem. — Prof. Besser zapisał 80,000 rs. na stypendyja dla niezamożnej młodzieży. Z procentów od tej sumy mają być udzielane stypendyja — po jednym — na wydziałach medycznych w uniwersytetach: kijowskim, warszawskim, moskiewskim i w wojen.-med. akad., oraz w 8 gimnazyjach (w Kijowie, Wilnie, Żytomierzu, Mińsku, Kamieńcu, Niemirowie, Petersburgu i Moskwie).

Stypendyja wynoszą po 400 i 250 rs. Co roku zaś będzie się potracać rs. 50, a powstająca ztąd suma wraz z procentami ma być wręczana stypendyjom po ukończeniu studiów, jako zapomoga jednorazowa. — Zmiany, które mają być zaprowadzone w instytucie inżynierów komunikacyj, ograniczają się na zamianie kursu trzyletniego na pięcioletni, zniesieniu egzaminów wstępnych i podwyższeniu opłaty z 50 na 100 rs.

— **Literatura i satuka.** Liczba dzienników w Paryżu dosięga w r. b. cyfry 1871, w r. z. było ich o 60 mniej. Najwięcej (43) przybyło dzienników finansowych i politycznych (10). Przeciwnie zaś na prowincyi ilość dzienników się zmniejszyła z 3,300 w r. z. na 3,090 (z tych 1,020 republikańskich i 503 reakcyjnych, czyli wogóle politycznych 1,523). — W Niemczech niedawno wyszedł z pod prasy pierwszy tom olbrzymiego wydawnictwa pod tytułem „Handwörterbuch der Staatswissenschaft”. Tom ten zawierający około 1,000 stron, nie wyczerpał jeszcze litery A. Znalezć w nim można bogaty zbiór wiadomości z rozmaitych dziedzin życia państwowego; pod nagłówkami zaś Arbeit, Arbeiter, Arbeiter schulz gesetzgebung, Armenwesen — wyczerpujące monografie kwestyji omawianych. Wydawnictwo całe, w którym przyjmują udział siły najpoważniejsze, ma objąć 5 do 6 tomów cena I tomu wynosi 18 marek, następnie można nabywać; po trzy marki za 10-cio arkuszowy zeszyt. H. George wystąpił niedawno w Melbourne w Australii z trzema odczytami: w pierwszych dwóch autor rozwijał swoją teorię „jedynego podatku” w trzecim zaś poddawał ostrej krytyce system protekcyjny. Odczyty cieszyły się olbrzymim powodzeniem. W Tybindze wyszedł tom I cennego dzieła Brauna: *Die Arbeiterschutzgesetzgebung*, traktujący o prawodawstwie w Niemczech, tom II poświęcony będzie państwu innym.

— **Rozmaitości.** Poczta elektryczna ma być zaprowadzoną między Nowym Jorkiem i Bostonem. Przebiegać będzie w ciągu godziny. — *Figaro* paryżki miał w r. z. dochodu z prenumeraty 1,645,000 fr. ze sprzedaży pojedynczych numerów 2,141,000 frank., z ogłoszeń 2,228,000 fr. — Bej Tunisu wydał edykt, znoszący niewolnictwo w tym kraju. — Armija zbawienia ma rocznego dochodu 2,500,000 rs., liczy zaś 9,000 oficerów i przeszło 3,700 oddziałów.

— **Zmarli.** *Oskar Kolberg*, zasłużony zbieracz materiałów etnograficznych.

Ks. Juliusz Dinder, arcybiskup gnieźnieński i poznański.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: Drukarnia A. Pajewskiego
12 Niecała.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedyja
Encyklopedyja
Encyklopedyja

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Osoba młoda, inteligentna, znająca gruntownie muzykę, mogąca przysposobić do instytutu muzycznego życzy sobie kondycyi na wyjazd na miesiące letnie. Złota Nr. 9, miesz. 74 od godz. 10—1.

NIEZBĘDNE

Ostrzeżenie. Ogłoszony oryginalny „Exsiccator” jest wtenczas prawdziwym, jak posiada przez Rząd z wielu Państw Europejskich zatwierdzoną markę fabryczną.

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD

EXSICCATOR

Osusza wilgoć, zabezpiecza od gnicia i grzybka, zastępuje farby. Broszurki bezpłatnie. — Inz. G. Ritter.

39 Królewska 39

POSZUKUJĘ AGENTÓW

Medal Warszawa 1885. Medal Warszawa 1886. Herb Państwa Austriackiego. Medal Kraków 1887. Dyplom Honorowy Symferopol 1888 i 1000-cie świadectw za skuteczność otrzymano. Ważny dodatek do broszurki II wydanie z ilustracyjami bezpłatnie (franco).

Nakładem naszej redakcyi wyszły z druku

ZASADY SOCYJOLOGII Herberta Spencera

2 duże tomy, cena rs. 4 kop. 80

dla prenumeratorów Głosu rs. 3 kop. 60.

Odzielnie tom I rsr. 3, (dla prenumeratorów rs. 2 kop. 25); tom II rs. 1 kop. 80, (dla prenumeratorów rs. 1 kop. 35).

Nakładem redakcyi GŁOSU wyszła w taniem, przeznaczonem dla ludu wydaniu powieść A. Dygasińskiego p. t. **KUBA GAŚSIOR** (odbitka z drukowanej w piśmie naszym powieści **W chłopskiej rodzinie**). Cena egzemplarza (94 str.) kop. 15. Księgarniom i osobom, nabywającym większą ilość egzemplarzy, odstępujemy stosowny rabat.

Odbitki dwóch kwestyjonyjuszów do zbierania wiadomości o oświacie ludowej

pod tytułem

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?

M. BRZEZIŃSKIEGO.

W SPRAWIE

CZYTELNICTWA LUDOWEGO

ANTONIEGO POTOCKIEGO

i

Zygmunta Wasilewskiego.